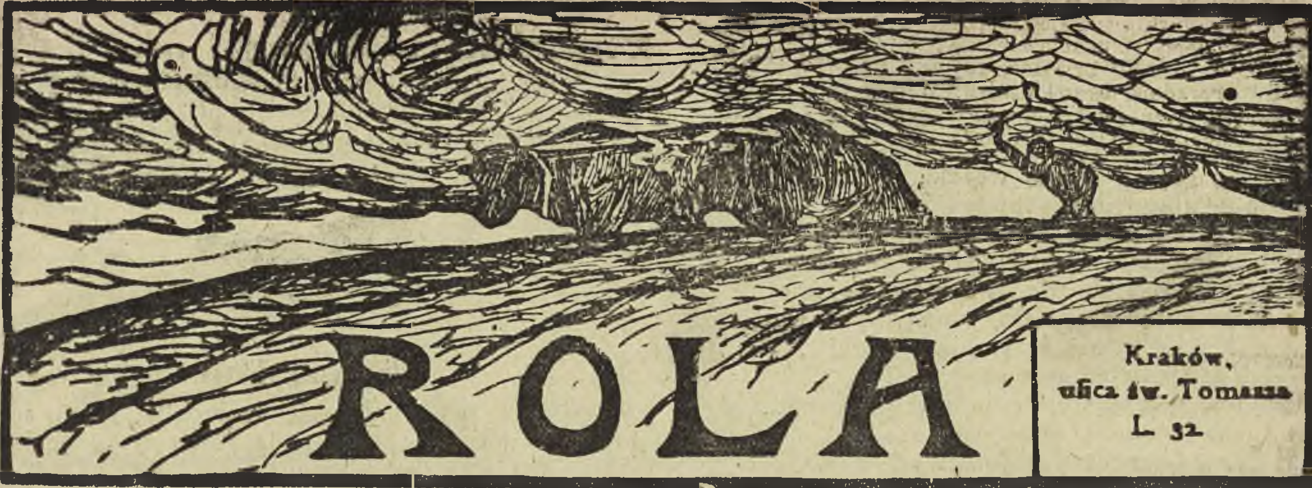
Numer 48. Nal. poczt. opł. ryczałtem. **Dnia 1 Grudnia 1929**



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

MODLITWA PANNY.

Smutek i troska serce me przebodły!
Do ciebie, Panie, wznoszę moje modły:
Me udręczenia w ofierze ci niosę...
Och, pocieszenia spuść niebieską rosę!
Z moich rówieśnic, ach ileż wokoło
Dostało mężów i żyją wesoło,
Gospodyniami dałeś im być Panie,
Ja tylko czekam na Twe zmiłowanie,
I choć młodzieży jest dosyć na świecie,
Żaden się o mnie nie oświadczył przecie!...
Chociaż który przyjdzie, pomówi, pochwali,
Wszyscy się jednak trzymają w oddali...
Serce me szarpią udręczeń tortury,
Czekam, wyglądam, by przyjechał który...
A tu nie widać! O święty Antoni,
Daj go z karetą i w sześć siwych koni...
Jeżeli tak trudno, jeśli tak nie można,
Niechaj mnie próżność nie kusi bezbożna...
I mniej wystarczy... O święty Ksawery,
Za twem wstawieniem niech przyjedzie w cztery...
Gdy i to zbytek, nie żądam koniecznie,
Byle był wierny i kochał statecznie...
I mniej wystarczy... Daj o święta Klaro,
Choćby przyjechał nie więcej, jak parą.
Wszak to niewiele... Och myśl moja goni
Z jakimś upiorem... Chcę męża nie koni!
I mniej wystarczy... Święty Dominiku,
Choćby przyjechał na jednym koniku,
Byleby przybył, przyjmę go z ochotą...
Jak nie ma konia, niech przyjdzie piechotą,
Wszak-że Ty Panie, rozkazałeś pono,
Aby kobieta była tutaj żoną;
Jam też gotowa, ja czekam, o Panie,
By spełnić szczerze twoje przykazanie,
Lecz upór ludzki dotąd mnie zwycięża:
Pragnę być żoną, ale nie mam męża,
A lata lecą. O święta Zuzanno,
Mogą mię ludzie nazwać starą panną;
Przyczyń się za mną, święty Mikołaju,
Bym mogła dostać męża, chociaż w maju!

Józef Knapczyk.



On tylko ocalał.

— Tak, pani, łódka się wywróciła, pięciu moich kolegów wpadło do wody, ja jeden tylko ocalałem.

— Umiałeś pan pływać?

— Nie, ale siedziałem na innej łódce.



Roztargniony.

Pewien jegomość, znany powszechnie z roztargnienia, był zaproszony na obiad do swego przyjaciela. Podczas obiadu tak miał głowę zaprzątniętą chorobą żony, że wydawało mu się, iż jest u siebie w domu na obiedzie, a ponieważ obiad był niezbyt wyśmienity, wstaje tedy przy końcu i powiada:

— Przepraszam bardzo państwa za ten gałgański obiad, ale moja żona dziś bardzo chora.

Numer 48. Rok XII. Kraków dnia 1 Grudnia 1929



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1929: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie: do Czechosłowacji rocznie 50 kor.cz., półrocznie 27 k. cz., kwart. 15 k. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli“ 30 gr. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.**
Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301. Konto pocztowe w Pradze czeskiej: Praga Pocz. Urząd Czek. 500.868.

Święty Andrzej Apostoł.

Dnia 30 listopada przypada świętego Andrzeja Apostoła, a ponieważ wśród naszych Czytelników mamy wielu Andrzejów, więc im też życie tego wielkiego świętego choć pokrótce przypomnimy.

Jak wiadomo, św. Andrzej był bratem św. Piotra. Gdy uczniowie Pana Jezusa rozeszli się po świecie, aby wygłaszać Ewangelję, poszedł Andrzej najpierw do dzikich Scytów, a potem do Grecji. Ale tam bardzo się sprzeciwiano przyjęciu chrześcijaństwa. Starosta zwoływał na Patras chrześcijan, kazał im się bożkom kłaniać i karał tych, którzy nakazu jego wypełniać nie chcieli. Andrzej oparł mu się jednak stanowczo i rzekł:

— Jesteś sędzią, obowiązkiem więc twoim byłoby uznać Najwyższego Sędziego w niebie jako jedynego Boga i odwrócić się od bożków, które nie są Bogiem!

Ale starosta rozgniewał się bardzo i powiedział, że ponieważ Chrystus nieprawdę głosił, przeto go żydzi umęczyli i ukrzyżowali. Jak więc taki Bóg może być prawdziwym?

Andrzej zaczął go nauczać i na każde jego pytanie dawał mu tak trafne odpowiedzi, że przebiegły starosta pomimo swego wielkiego rozumu, nie wiedział wkońcu, co mówić. Uniesiony gniewem kazał Apostoła wrzucić do więzienia, ale na wiadomość o tem zebrały się liczne tłumy z rozmaitych bliższych i dalszych okolic państwa i mnóstwo wielbicieli św. Andrzeja chciało starostę zabić, więzienie zburzyć i uwolnić uwięzionego. Andrzej jednak upomniał ich i prosił, aby tego nie czynili, zaręczając, że on chętnie cierpi za wiarę.

— Tylko tych męczarni — rzekł im — należy się obawiać, które trwają wiecznie, wszelkie cierpienia na ziemi są albo lekkie i dlatego można je łatwo znosić, albo są ciężkie i człowiek wnet umiera, przez co i cierpienia się kończą. Przez męczarnie w tem życiu dochodzimy do szczęśliwości niebieskiej — w radości nieustającej będziemy oglądać oblicze Chrystusa i królować z Nim w Jego chwale.

Przez całą noc przemawiał Andrzej do zgromadzonego ludu, a zaledwie dzień się rozpoczął, kazał go starosta przyprowadzić do siebie i rzekł mu:

— Spodziewam się, że rozważyłeś moją radę i że mnie usłuchasz. Porzuć Chrystusa, żyj i używaj przyjemności tego świata. Głupstwem jest przecież dobrowolnie umierać na krzyżu, ofiaruj więc naszym bogom, a obsypię cię złotem i dam ci wysokie stanowisko.

— Mnie tylko mój Bóg wywyższyć może — odpowiedział Andrzej.

— Taki Bóg, którego powieszono na krzyżu, nie ma żadnej władzy. Dziwię się, że ty, jako człowiek rozsądny, wierzysz w niego?

— Mówiłem ci przecież, że wielką jest tajemnica krzyża!

— Przestrzegam cię, że doznasz tej tajemnicy sam na sobie — krzyknął rozgniewany starosta.

— Gdybym się tego lękał — odrzekł spokojnie Andrzej — to nie wysławiałbym chwały krzyża! Ale śmierć sprawiedliwych jest wspaniałą, śmierć zaś grzeszników straszliwą! Usłuchaj więc moich słów, poznaj naszą wiarę, a nawrócisz się z pewnością i staniesz się sprawiedliwym i miłym Bogu. Ocal duszę twoją od wiecznej zagłady.

Ale starosta dalej słuchać nie chciał i zagroził mu surowo, że jeżeli nie złoży ofiary dobrowolnie pogańskim bożkom, to każe go również przybić na krzyżu.

Andrzej podziękował mu za to:

— Wielkim dla mnie będzie zaszczytem umierać taką samą śmiercią, jak Chrystus!

— Ale poprzednio męczyć cię jeszcze każę! — zawołał starosta.

— Ja się żadnych mąk nie boję, a im więcej będę cierpiał tutaj, tem więcej szczęścia doznam w życiu przyszłem.

Za tę odpowiedź kazał go starosta rzucić na ziemię i siec rózgami. Gdy kaci już się biciem zmęczyli, zaczął go znów namawiać, aby się zaparł Chrystusa.

— Mówłem ci już kilka razy — odrzekł Andrzej — że więcej się boję o potępienie twej duszy, niż o moje męczarnie. Ja będę cierpiał kilka dni, twoje cierpienia zaś będą wieczne.

Wtedy kazał go rozwścieklony poganin przybić na krzyż, ale tak, aby nie umarł zaraz, tylko się męczył jak najdłużej. Gdy prowadzono świętego Apostoła na miejsce wykonania wyroku, zbiegło się bardzo wiele ludzi i jeden pytał drugiego:

— Co uczynił ów sprawiedliwy, ów przyjaciel Boga, że go krzyżują?

I znów prosił Andrzej, aby nie przeszkadzano katom w robocie, bo idzie z radością na śmierć i czeka jej niecierpliwie.

I gdy zdaleka ujrzał przygotowany dla siebie krzyż, stanął, wyciągnął ręce i zawołał:

— Bądź pozdrowiony krzyżu, który zostałeś ciałem Chrystusa uświęcony i ozdobiony członkami Jego, jak drogiemi kamieniami! Zanim Pan wstąpił na cię, byłeś postrachem dla ludzi, teraz stałeś się przedmiotem nadziemskiej miłości. Bo wierni wiedzą, jaką szczęśliwość zawierasz w sobie i jakie bogactwa im dajesz! O drogi krzyżu, weź mnie i zanieś do mego Mistrza, aby mnie przyjął do swej wiecznej chwały!

Po tych słowach zdjął swoje szaty i oddał je katom, oni zaś rzucili się na niego i powiesili na krzyżu. Ale lud krzyczał, że powieszono niewinnego i brat starosty mówił to także. Andrzej przemawiał z krzyża do zgromadzonych, nauczając ich, że nie można wcale porównywać cierpień doczesnych z wiekuistą nagrodą w niebie.

Potem zebrał się lud cały przed domem starosty.

— Człowiek — wołano groźnie — tak skromny, święty, czysty i pobożny, nie zasługuje na takie męki i powinien być zdjęty z krzyża. Wisi on już drugi dzień, a nie przestaje nauczać.

Starosta, lękając się zaburzeń, kazał Świętego zdjąć. Ale wszelkie usiłowania były daremne. Andrzej modlił się głośno, prosząc Boga, aby mu pozwolił umrzeć na krzyżu i oprawcy nie mogli go nawet ruszyć z miejsca. Nagle trysnęła wielka z krzyża jasność tak, że nikt Świętego dojrzeć nie mógł. Święty Andrzej oddał Bogu ducha, a ledwie oczy na wieki zamknął, znikła jasność i wszystko było znowu tak, jak dawniej.

Święty Apostoł dał nam przykład, aby nie przestraszać się krzyżyków, jakie Bóg na nas zsyła, ale znosić je cierpliwie.



Czwartacy.

Poszli, by zginąć — lub wrócić w stolicę
z jednym awansem: z bohaterów rangą!
A szli żelazną — spiżową falangą
w śnieżne — drzemiące pola bladolice.

Bagnetów sinych kołysze się grzęda —
a jeden tylko im rozkaz hetmani,
a jedna tylko im święta komenda:
Z tarczą powrócić chwały — albo na niej!...

Poszli pod Grochów — w sławetną Olszynę —
poszli — by sadzić wolne wieków dęby —
a śpiewały im paszcze armat sine
w marszu i w boju wśród sławnej poręby!

Piekielna strzałów i ciosów narada
powietrza przestwór zimowy rozsadza —
drzew, ludzi skroni śmierć dotyka blada —
wśród snopów źrałych żniwa się przechadza...

Wielu ich legło u wolności wrótni —
żywych witała świątecznie stolica...
A szli radośni — krwią wylaną butni —
szli „z nią“ — szli z gestem wolności dziedzica...

Nie mieli nawet wieńców u sztandarów —
i nie zdobiły ich żadne odznaki —
lecz nieśli imię — z wszystkich droższe darów —
rycerzy imię — i miano: czwartaki!..

Franciszek Surówka.

HENRYK RÓŻYCKI.

SMOK.

Powieść z zamierzchłej przeszłości na tle legendy wawelskiej.

Krak spostrzegłszy, że Skuba nie bierze udziału w rozmowie, chociaż umyślnie jego językiem mówił do przyjaciela, spojrzał na niego, potem w kierunku jego wzroku.

Pod ścianą w kącie szałasu stała paka, a w niej moc różnego narzędzia i broni. Były tam ogromne obosieczne miecze w skórzanych żółtem metalem ozdobnych pochwach, piły, topory, dłuta i obcęgi i wiele innych, o których nawet, do jakiego mogą służyć użytku, ani się domyślał Skuba.

Krak powstał, ujął za rękę Skubę, a pociągnąwszy go w stronę skrzyni, zapytał:

— Co ci się tutaj podoba?

Skuba pochylił się nad skrzynią i wyciągnął piłę, oglądając ciekawie jej zęby.

— Pożyteczne to widać narzędzie i nasi go nie mają! — rzekł do Kraka.

— A więcej?

Wyciągnął jeszcze siekierkę, długi nóż i obosieczny długi miecz.

Krak dołożył jeszcze grot do oszczepu, dwa mniejsze noże i młot.

— Twoje to! — rzekł do Skuby.

Skuba popatrzał prawie ze strachem na niego. Oczy mu błysły łakomie, lecz się pohamował prędko i zapytał:

— Za co mi to dajecie, panie?

— Uratowałeś mi życie, więc co moje, to twoje!

— Schowaj sobie to narzędzie, bo ja go nie wezmę!

— Dlaczego?

— Nie dla zapłaty to robiłem, ale żem ci był dłużen!

To rzekłszy, widać urażony zabrał się do odejścia.

— Zaczekaj! Dałeś mi przecie ubranie, za które należy ci się zapłata!

— Jak wasze skóry wyschną, oddacie!

— Ja skór nie wdzieję więcej i postanowiłem pozostać w tym stroju!

Skuba popatrzał na niego jakoś uważniej i po krótkim namyśle rzekł:

— Ano za ubranie wezmę!...

U wejścia zjawił się jeden ze sług i oznajmił, że pieczyste gotowe.

Zasiedli do uczty.

Podjadłszy smacznej baraniny do syta, popijali z cynowych kubków miód a Skuba poglądał z lubością na skarby.

Wreszcie Krak powstał i rzekł do Raninga:

— Zostawia mci na opiece gościa!... Gdybym nie wrócił, wyprowadź go z obozu, aby mu się krzywda nie stała!... Ja idę do księcia!...

I wyszedł

— Nie będę z nim budował państwa i wracam do swoich! — powtarzał uparcie i schodził po stoku góry pomiędzy gęsto przyczepione do skały szałasy nad Wisłą, aż stanął u otworu pieczary.

Na widok człowieka w nieznanym stroju straż stojąca u wchodu do groty najeżyła włócznię, by zagrodzić drogę nieznanemu przybyszowi. Lecz jedno wymienione słowo przez Kraka utorowało mu wejście.

Na pęku cennych skór z głową podpartą na dłoni leżał Seming i z puchara cynowego popijał miód, pa-

trząc bezmyślnie przed siebie. Na szmer czyniony krokami przybysza skierował leniwie zaczerwienione oczy w stronę wylotu pieczary i zdumiony nieznaną mu postacią, z widocznem przerażeniem na twarzy usiadł na posłaniu i śledził bacznie ruchy dziwacznej postaci.

— Bezbronny!... — szepnął do siebie, jakby na uspokojenie. Lecz ręką przysunął bliżej leżący obok niego miecz.

— Pewnie poselstwo ślą do mnie tubylcy!... Ale czemu straż puszcza go i nie czyni zwykłych w tym wypadku ceremonij... A może nasłany, by mnie zabić, a broń pewnie ma ukrytą pod krótkim kożuszkiem!... — myślał.

I blady w strachu powiódł okiem naokoło siebie, jakby szukał miejsca, gdzieby się ukryć.

Krak tymczasem stanął pod sklepieniem groty i w mrocznym cieniu rozglądał się za księciem.

— Bogowie z wami! — rzekł, zobaczywszy pod ścianą na posłaniu siedzącego Seminga.

Seming wytrzeszczył źrenice. Swemi małemi oczami świdrował go chwilę, a poznawszy, kogo ma przed sobą, z widoczną złością, ciskając się jakby ukłuty szydłem, zawołał:

— Co znaczy ten strój?! Drugi raz nabawiłeś mnie swoją osobą niepokoju! Wczoraj o moich ludzi, a teraz znowu tą maskaradą!

— Po nocnej kąpieli, pomiędzy obcymi ludźmi, zmuszony byłem zmienić mokre skóry! — odrzekł Krak.

Seming popatrzał przeciągle na niego i widocznie zły, ze sapaniem dzikiego zwierza, cisnął się na posłanie, ręce założył pod głowę i utkwił wzrok w zwisających u sklepienia stalaktytach, jakby się mocował ze sobą, by nie wybuchnąć. Po chwili dopiero przez zaciśnięte bezzębne szczęki wycedził:

— Wszyscy utonęli!...

Porwał się wściekły z posłania, ułapił za miecz i z rykiem, jak dziki zwierz, przyskoczył do Kraka.

— A tyś ocalał?!...

Lecz Krak bez cienia trwogi stał nieporuszony i śmiało patrzał w jego źrenice. Wreszcie rzekł:

— Z pomocą młodego krajowca!...

Seming pohamował się prędko. Podniesiony miecz do cięcia opuścił i głosem nie żalu za życiem ludzkiem, lecz jak skąpiec za sztuką złota zaskrzeczał:

— Tylu sterałeś mi ludzi!... Nie jestem z ciebie zadowolony!...

— Ja także!... — odrzekł Krak.

— Co?

— Ja także nie jestem z was, książę, zadowolony i właśnie przyszedłem wymówić wam moje usługi! Wracam do swoich!...

Seming, zdumiony śmiałą odpowiedzią wojownika, oniemiał. Wkońcu ogarnął go lęk.

A nuż za tym młodzieńcem zbuntuje się cała załoga?...

Przepadłyby nadzieje utworzenia państwa, a on sam, kto wie, czy wróciłby żywy do swoich?...

— Dlaczego? — zapytał po chwili.

— Bo nie chcę budować z wami państwa!...

— Ale co jest powodem do tego?

W pierwszej chwili chciał powiedzieć: Wasza zbrodnia, lecz pohamował się na czas i odrzekł:

— Bo nie wierzę w powodzenie!

— Zatrzymać cię nie chcę, boś mi z własnej woli towarzysz. Chcesz wracaj, albo zostań! O tych ludzi mi się już nie rozchodzi! Bo jak mi donoszono, luda tu moc, to wnet ich zastąpię tubylcami! Postąpiłeś lekkomyślnie, lecz ci to daruję, boś młody i niedoświadczony. Radziłbym ci, byś został, bo dopiero teraz zaczniemy działać! Jutro wysyłam oddział do Tynu po należną mi daninę i ludzi do budowy grodu.

— A jeżeli odmówią...

— Skąd wiesz o tem?!...

— Bom się z nimi zetknął i poznałem, że to lud hardy i karku pod przemocą nie ugnie!...

— W takim razie gorze im! Tyn zburzę, a ludzi wezmę przemocą!...

Umilkli.

Szum wzburzonej Wisły dudnił echem w pieczarze, a krople wody, padając ze zwieszających się stalaktytów, wybijały monotonny takt na klepisku jaskini.

Ostatnie słowa Seminga bębniły w uszach Kraka jakiemś złowrogiem memento.

„Tyn zburzę, a ludzi wezmę przemocą!...“

— A jak się będą bronić i przełożą śmierć nad niewolę? — myślał.

Wtedy Seming wymorduje bez litości wszystkich co staną mu na drodze, a z nimi ją... Wilję!

Na wspomnienie pięknej córki Sławoja serce uderzyło mu silniej i jakiś lęk wkradł się w jego duszę.

Popatrzał na Seminga.

Stał przed nim zapatrzony w klepisko, poruszał bezzębną szczęką tak samo, jak na wstępie do tej jaskini, kiedy zobaczył Salwidę.

Dreszcz obrzydzenia i zgrozy wstrząsnął nim całym.

— Muszę ją obronić przed tym potworem! — pomyślał.

— Zostanę, aż książę ugruntuje tu swoją władzę! — rzekł głosno? — Ale...

— Ale? — zapytał Seming widząc, że Krak urwał zdanie jakby stropiony własnym głosem.

— Ale, com rzekł, nie cofam!...

— A mianowicie?

— Że książe nie zdobędzie tej ziemi!...

Buremi oczami popatrzał zyzem, szczęka drgnęła mu jakimś nerwowym skurczem, a ręką wstrząsnął mieczem.

— Zobaczymy — wycedził.

— Będę czekał! — rzekł Krak.

Pokłonił mu się nisko i wyszedł.

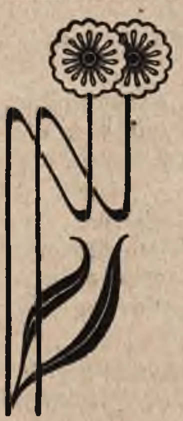
— Jeżeli Skubie podobni to zobaczymy! — szeptał do siebie i machinalnie zmierzał do swego namiotu.

W połowie drogi wspomniał sobie groźbę Skuby i przystanął.

— Powinienem go ostrzec!...

— Ale nie! Nie mogę!... Temu winienem cześć, a tamtemu życie!

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Sierota.

— Skąd ty, dziecino?
  — Jam z wiejskiej chaty!
— A gdzie twój ojciec?
  — Ja nie mam taty!

— A gdzie twa matka?
  — Mateńka droga
Także już dawno u Pana Boga...
— A gdzież ty idziesz?

  — Do dobrych ludzi,
Może się litość w ich sercach wzbudzi
Może przygarną sierotkę biedną
Na jeden dzionek, na nockę jedną...

Antoni St. Bassara.

Kłamstwo.

Stara historja, nanowo opowiedziana.

W tydzień po ślubie Adam i Helena siedzieli w pokoju bawialnym, wpatrzeni w siebie i szczęśliwi. Nagle drzwi się otwarły i ukazała się w nich służąca, niosąc w ręku telegram.

Adam odebrał z rąk dziewczyny skrawek papieru, przebiegł go oczyma i pobladł śmiertelnie.

Spostrzegła Helena jego zmieszanie.

— Co? Co się stało? — zapytała niespokojnie.

Adam nie mógł znaleźć naprędce odpowiedzi. Młoda kobieta wyrwała mu niespodzianie z rąk papier i czyta zdumiona:

„Kazia umierająca. Wzywa pana. Przyjeżdżaj natychmiast".

— Co to znaczy Duśku? Kto to jest ta Kazia, wzywająca cię do swego łoża śmierci? Dlaczego ja jej nie znam? Ja, twoja żona? Czemu jesteś taki blady? — Czemu drżysz?

Mówiąc to, Helena wybuchła głośnym płaczem.

— Uspokój się, dziecino, błagam cię...

— A więc kochałeś ją?...

— Tak!... To jest nie... Zdawało mi się raczej, że ją kocham, póki ciebie nie poznałem! — tłómaczył się nieszczęśliwy człowiek. — Te wszystkie młodzieńcze uniesienia nic nie znaczą, póki się nie pozna prawdziwej miłości... Ciebie jedną i ciebie tylko kocham...

— Kochałeś ją! — szepcze uporczywie Helena...

— Poznałem ją przed trzema laty i polubiłem, gdyż w całej pełni zasługiwała na to. Słowo „kocham" nigdy jednak z ust moich nie wyszło, choć zdawało mi się, że i we mnie zrodziło się głębsze uczucie. — Zdawało mi się, póki ciebie nie poznałem, póki nie przekonałem się, co to jest prawdziwa miłość. Musiałem się z nią rozstać, choć wiedziałem, że biedne dziewczę całą duszą przylgnęło do mnie. Napisałem oględny list do niej, że się już nigdy nie zobaczymy. Byłem spokojny w sumieniu, ale ona widocznie o mnie nie zapomniała.

— Ko-cha-łeś ją! — powtarza uporczywie Helena.

Myśl, że inna była kiedyś panią serca jej Adaśka, wstrząsnęła Helenę uczuciem nieznanem, a złem.

— Nie pojedziesz do niej! — krzyknęła gniewnie.

— Helu! Tem jednem mogę w części bodaj naprawić błąd mojej przeszłości, odkupić winę, odkupić krzywdę... Czyż mogę odmówić umierającej?...

— W takim razie i ja pojadę z tobą!

Nazajutrz po żmudnej, ciężkiem milczeniem brzemiennej podróży stanęli przed domem umierającej Kazi.

— Jesteśmy na miejscu! — odzywa się Adam. — Pozwól, Helu, wejść mi samemu.

— Nie — mówi Helena stanowczo. — Przekonana jestem, że ta kobieta zajmuje jeszcze poważne miejsce w twojem sercu. Nienawidzę jej! Przekonam się o tem i pożegnam was na wieki!...

Schylił głowę ruchem znużonym, poddanym.

— Rób, jak uważasz! — rzekł matowym głosem, przygotowany na wszystko najgorsze. Nacisnął guzik dzwonka, a w drzwiach ukazała się starsza kobieta z oczami czerwonemi od płaczu.

— Ach, to pan! — wita Adama z wyrazem głębokiej wdzięczności w twarzy. — Chodźmy, chodźmy prędzej do niej. Lekarz twierdzi, że godziny jej są policzone, a ona tak gorąco pragnie ujrzeć pana przed śmiercią...

Nie zauważywszy idącej w ślad za nimi Heleny, prowadzi Adama przez pół ciemny korytarz.

— Ona pana tak kocha! — szepcze, szlochając. — Łudziła się ciągle, że wrócisz do niej. Wczoraj jeszcze powtarzała w malignie: „On wróci, mamo! Wróci i zabierze mnie ze sobą!"

— Nie wie?... — przerywa Adam drżącym głosem.

— Żeś się pan ożenił?... Ach nie! Udało mi się ukryć to przed nią.

Idzie za nimi Helena i przysłuchuje się ich rozmowie. Tego już zanadto! Wykreślano ją zupełnie z życia Adama, a stawiano obok niego ją... jakąś Kazię! Ona, ona Helena, nie istnieje... Zobaczymy!...

Podniecona temi myślami staje młoda kobieta w drzwiach pokoju chorej.

Podczas, gdy Adam padł na kolana przy łóżku, całując z łkaniem białą, przeźroczystą dłoń, Helena onieśmielona wpatruje się zdaleka w drobną twarzyczkę umierającego dziewczęcia białości marmuru, w oczy nie z tego świata, w drżące ręce, niespokojne, jakby przytrzymać chciały uciekające życie...

— Duśku mój! — rozlega się cichy, przytłumiony grobowy omal głos. — Adaśku! Tyżeś to?... Ty!...

Jak żądłem ukąszona, Helena drgnęła.

— Wróciłeś!... Jesteś! — szepcze umierająca. — Kochasz mnie i przyszedłeś zabrać mnie ze sobą...

— Uspokój się, Kazieńko, uspokój!... Przyszedłem i jestem... Nie mów nic... Nie męcz się — błaga Adam głęboko przejęty i zmieszany zarazem myślą o Helenie za jego plecami.

— Powiedz!... Powiedz! — nalega umierająca z gorączką i nienaturalnym blaskiem w oczach. — Kochasz mnie? Kochasz jeszcze?...

Szarpany uczuciem litości dla umierającej, oraz trwogą o swe szczęście i ognisko domowe, Adam milczy, waha się przed dobroczynnem kłamstwem.

— Adasiu!... — błaga chora coraz niespokojniej — powiedz, że kochasz mnie...

— Kto to?... Kto to?... — woła nagle, wpatrując się błyszczącym wzrokiem w drzwi. — Nie jesteś sam... tam stoi kobieta... Skłamaliście! Skłamali... Ta kobieta, to twoja...

Dusząc się, opadła na poduszki.

Podbiega Helena, nachyla się nad trupio bladą twarzyczką, po której cienie śmierci błądziły...

— Pani... pani... — krztusi się biedna Kazia — jest jego... jego...

— Jego siostrą... — kończy Helena z anielską dobrocią w oczach.

Gasnący wzrok wbija się w Helenę z wyrazem nieziemskiego zachwytu.

— Jestem jego siostrą! — powtarza Helena pewniejszym głosem — a on kocha cię zawsze...

Boski spokój ogarnia powoli stygnące rysy. Helena wówczas, zbliżywszy usta do ucha Kazi, by dobroczynnem kłastwem złagodzić męki konania, szepcze tkliwie:

— I przyjechaliśmy po ciebie...

W ROCZNICĘ LISTOPADOWĄ.

Wprawdzie odzyskaliśmy wolność i zdawałoby się, że należy zapomnieć o dawnej przeszłości, zabliźnić rany tak niedawno zadane naszej Ojczyźnie i cieszyć się z odzyskanej wolności. A jednak tak nie jest. Przypominać nam trzeba ciągle tę przeszłość naszą, przypominać te krwawe zmagania się z wrogiem naszym, abyśmy w przyszłości unikali tego, co było w przeszłości naszej złe, a naśladowali to, co było w niej dobre.

Do pięknych, choć smutnych kart naszej przeszłości należało również powstanie listopadowe z 1830 r. Był to niejako ostatni odzew żywej jeszcze Polski, poczem miała przyjść straszna i długa niewola. W r. 1830 mieliśmy jeszcze własne choć nieliczne wojsko, żołnież był karny, wyćwiczony, a wielu wodzów pamiętało świetne czasy Napoleona. Umieli oni rozkazywać i słuchać, poświęcać się i wierzyć w zwycięstwo. Więc nadzieje były słuszne. Rzecz sama, chwila wybuchu, trzymana była w tajemnicy. Wprawdzie wielki książe Konstanty, zastępca cara w Warszawie, szpiegował i podejrzywał, ale nie wiedział nikt, co i kiedy ma się stać.



Napad powstańców na furgon rosyjski.

Aż wieczorem 29 listopada zapłonęła na niebie nad Warszawą łuna. Był to znak umówiony. Trzy oddziały powstańcze rzuciły się równocześnie na pałac wielkiego księcia, na arsenał i na koszary rosyjskie, żeby je opanować. Wojsko rosyjskie nie dało się jednak zaskoczyć: stanęło pod bronią. Wielkiego księcia nie pochwycono, gdyż ukryła go żona. I stało się, że zaraz pierwsze czyny powstania zaczęły się pod złą wróżbą.

Nie brakło jednak w niem wielkich momentów. Wodzem obrano Chłopickiego; ten potrafił porwać wszystkie serca. Ale nie łatwa była sprawa z przemocą wroga. Rosja przysłała 100.000 wojska pod wodzą generała Dybicza. Polacy nie ulękli się strasznej przemocy i do dziś dnia powiada nam pieśń: „Grzmią pod Stoczkiem armaty“, jak to dzielni Krakusy sami, bez rozkazu, z własnej woli wpadli na rosyjskie armaty i rozstrzygnęli na naszą korzyść zwycięstwo. To jeden z najpiękniejszych dni z życia naszego ludu wiejskiego. Białe sukmany blask swój rzuciły na historję narodu polskiego!

Z dniem każdym zbliżała się stanowcza chwila. Nadszedł Grochów, wielka, pamiętna bitwa, która chwałą okryła żołnierza polskiego. Zawrzała bitwa o Olszynkę, gdzie krzyżowały się drogi, któremi mogły nadciągnąć posiłki. Kto miał Olszynkę, miał pewność zwycięstwa. Tam legł cały oddział generała Żymirskiego, że ani jeden żołnierz nie ostał, tam padł cały rosyjski pułk, zwany niezwyciężonym, tam kula raniła Chłopickiemu obie nogi, ale Polacy Olszynki nie dali, choć ich było znacznie mniej, aniżeli Moskali.

Pod Wawrem rozbił Rybiński korpus generała Geislera, pod Dębem Wielkim pułkownik Bojanowski rozgromił stojących na wzgórzu Moskali.

Zdawało się, że pomimo szczupłych sił nie damy się zjeść przemocy wroga.

Ale przyszła Ostrołęka, gdzie padło 8 tysięcy najdzielniejszych żołnierzy, 200 oficerów i 2 generałów. Szala zwycięstwa poczęła się przechylać na stronę wroga. Nie pomogły dalsze utarczki i pomniejsze zwycięstwa. Dnia 7 września 1831 roku Moskale zajęli Warszawę, a z chwilą tą powstanie było skończone.

Ale poryw ten nie był daremny. Ojcowie nasi dali nam przykład, jak walczyć za Ojczyznę i jak za Nią umierać. A za ich przykładem poszli synowie i wnukowie ich na wezwanie największego z współczesnych, stanęli w szeregach legjonów polskich i krwawo pomścili śmierć swych ojców i dziadów.

I dziś, kiedy krwawy carat padł w proch, a potomkowie Dybiczów sami się mordują, Polska krzepi się i potężnieje, zajmując jedno z pierwszych miejsc wśród narodów świata.

Powrócił!...

(Dokończenie).

— Tak, ta wieś na górze, to Chruściska, stąd do wsi jednak jeszcze setny kawał.

Przybyły postawił kij i koszyk i grzał się u ciepłego pieca. Kasprowa wyjęła dymiący garnek z blachy; wieczerza już była ugotowana. Woń świeżych ziemniaków rozeszła się po izbie. Wdowa je odcedziła, omaściła roztopioną słoniną i utłuczone wykładać poczęła na misę.

Podróżny rzucił okiem po izbie.

Nieduża była, ale porządna i czysta. Obok pieca stała szafa oszklona na garnuszki i sprzęty kuchenne, przy tylnej łóżko szerokie wysoko zasłane i kufer niemalowany, wymyty piaskiem do białości. Pod oknami pełnemi bujnych kwiatów doniczkowych stół, a za nim zydel z balaskami. Na ścianach kilka obrazów świętych i misternych wycinanek. Przez cienką ścianę słychać było chrobot i chrzęszczenie łańcucha, pewnoć tam krowa stała.

— Franiu, daj ta maślankę — rzekła wdowa do córki — i łyżki.

Frania przyniosła z szafy trzy łyżki i dwa talerze, na które nalała maślanki. Sprzątnęła ze stołu szycie i odwinęła obrus.

— Chodźcie, siadajcie z nami, rozgrzejecie się prędzej gorącą wieczerzą — prosimy — zwróciła się Kasprowa do gościa, przysuwając ławę do stołu.

Podróżny począł się wymawiać, ale widać było, że rad okrutnie zaprosinom, i że mu się jeść chce.

— Nie krępujcie się, w drodze różnie wypadnie, chodźcie, bo stygnie — zapraszała, podsuwając mu talerz z maślanką i z drugiego obie jeść poczęły. Ziemniaki brali wszyscy troje z jednej misy.

Gość był bardzo rozmównym. Skoro się tylko rozgrzał i pierwszy głód zaspokoił, jął opowiadać zajmująco, co mu się było podczas podróży przytrafiło, co wiedział lub słyszał.

Kobiety nabierały coraz więcej zaufania do nieznajomego. A że i Kasprowa była gwarną kobietą, — więc rozmowa toczyła się żywo. Frania szyła w milczeniu, często jednak od pracy podnosiła oczy na przybysza, przyglądając mu się ciekawie. Kiedy wróciła od krowy, matka jej rzekła:

— Idźże Franiu przynieść słomy, może pójdą spać?

— A cóż wy tylko tak same we dwie gospodarzycie, nie macie nikogo więcej? — pytał obcy.

— Juźci nie mamy chłopa, tylko tak same baby.

— To wy pewno gdowa jesteście, prawda? Dawno już?

Cień smętnej, bolesnej zadumy osiadł na twarzy kobiety.

— Dawno, dwadzieścia lat my już same. A ja, to taka gdowa i nie gdowa. Pół roku żyłam z chłopem ino. Dopokąd mi brat spłaty nie dał. A jak dostałam pięćset rubli, tak mój chłop łapas pieniądze i wio do Ameryki.

Podróżny słuchał wielce zainteresowany.

— I tak was odjechał?

— Haino, miał pisać, ale ino raz pisał za trzy miesiące, że dostał robotę i że wnet mi przyśle pieniądze i bilet na przejazd. Zaś potem nic, ani pisma, ani biletu, ani chłopa. A mnie się wnet dziecko urodziło. Upłynął rok jeden, drugi — nic! Martwiłam się, płakałam, czy go gdzie jakie nieszczęście spotkało, czy co? Dopiero za jakieś cztery lata przyjechał tu jeden z naszej wsi, co razem z moim robił powiada: — „Kobieto, wy się tu martwicie, a wasz chłop nie, ino się z cudzemi dziewkami bawi".

Potem insi przyjeżdżali i pisali nawet o moim Kasprze, jak używa, zapomniawszy o mnie i o dziecku. Potem wszystko ucichło. Już jedenaście lat, jak nie mamy żadnej wiadomości.

Spuścił głowę podróżny zadumany i zdumiony srodze opowieścią Kasprowej.

— Hej, com ja wycierpiała, wypłakała biedna! Co się trza było narobić, naharować, biedy naużywać, ludzkich przycinków naznosić! — Ano odleciał mnie chłop i juści. Zaparł mi się i dziecka rodzonego się zaparł. Ostawił tak na łasce losu. Musiałam sę izbę nająć i robić, izbę odrobić, dziecko wyżywić, okryć, siebie...

— Jezu, toście wy Kacpra Beczuły kobieta?

— Ano, Beczuły żona, a ta dziewucha, to jego i moja córka. A wy skąd wiecie? Znaliście mojego chłopa?

Wpatrywał się pilnie w pomarszczoną biedą i pracą, zmartwieniami zżartą twarz Kasprowej, potem przeniósł wzrok na Franię. Ta jednak nie podobna była do matki.

— Juści, że znałem Kacpra Beczułę. Toż to ja — ja z nim razem pracowałem w Ameryce.

— Tak? Co wy mówicie? Naprawdę? A kaz on się obraca? Żyje aby jeszcze?

Żyje i chłop zdrowy, choć się zestarzał i zdziadział.

— Ojże jego, słyszysz ty Franiu? Nasz ojciec żyje? Chciała jeszcze coś mówić, ale głos jej się załamał i łzy ukazały się na powiekach.

— A kaz on jest, mówcie?

I głos podróżnego się zmienił.

— Mówił nieraz, że wróci do was, do swojej żony, tylko nie wie, gdzie wy jesteście i czyja? Bał się, że wy może albo umarli, albo za innego wyszli. Że mu nie odpuścicie, nie przebaczycie.

— Hej, przebaczyłam mu już dawno, dawno darowałam. Z porazu, kiej mi bieda i ludzkie docinki dokuczały — tom klęła! Zawidziłam mu strasznie, pomstowałam, że nie daj Bóg! Bo, żeby to już ino mnie porzucił, tobym się jeszcze pogodziła. Ano, nie lubiał i już. Ale dziecko? Cóż ono winno? — Potem jednak w ciężkiej pracy pamiętał o nas Pan Jezus, żeśmy nie pomarły, kawałeczek grontu chyciły i chałpinę sklециły. A ciągle mi się widziało, że Kasper wróci. Modliłam się i Boga za obrazę i przekleństwa przepraszałam. — A gdzież on, Kasper teraz?

Milczał chwilę podróżny, spuściwszy głowę. Kiedy ją podniósł, z niebieskich oczu na białą brodę stoczyły się dwie łzy.

— Pocóż tu mówić tak albo tak, nie poznałem was i wyście mnie nie poznali. Zestarzałem się do niepoznania. Rozpusta i pijaństwo mię zżarły. Dyć to ja, Kasper Beczuła.

— Jezus — wy?

— A ja, ja! Marcychno, ja Kasper — twój chłop.

Nie mógł mówić więcej.

Przez krótką chwilę patrzyła mu w oczy siwe łzami zalana. Chciała z nich przeczytać prawdę. — Chciała w tej twarzy starej i oczach odnaleźć znaną i kochaną niegdyś twarz męża.

Kasper wziął jej rękę spracowaną i pochylił się nisko.

— Daruj-że mi teraz — daruj... Wróciłem... już nigdy...

Frania blada jak płótno białe, które jej się z rąk wysunęło, patrzyła rozszerzonemi źrenicami na matkę i obcego pierwszy raz widzianego człowieka, który miał być jej ojcem — Ojciec! Dwadzieścia lat już ma, a ojca rodzonego dopiero pierwszy raz widzi. Bezbrzeżną krzywdę czuła — i zarazem miłość nie wiedzieć skąd do tego pierwszy raz ujrzanego ojca zrodzoną. Jakaś siła ją pchnęła do tego człowieka. Rzuciła mu się na szyję.

— Tatusiu, tatusiu, tatusiu!

— O dziecko ty moje, dziecko!

Kasprowa z nagłej radości, że męża straconego oto odzyskała — zemdlona upadła na ziemię z cichym jękiem.

Skoczyła po wodę Frania przerażona, podjął żonę ze ziemi Kasper. — Dziwnie była ciężka i leciała mu przez ręce.

Straszne przeczucie, lodowaty strach ścisnął go za serce, kiedy ją ze ziemi podejmował. Bryznęła Frania zimną wodą matce w twarz raz i drugi. — A jednak nie dawała znaku życia. Pierś podniosła się jeno, jakby westchnieniem ulgi — i opadła.

Nagle uczuł Kasper, że jej dłoń, którą w swych rękach trzymał, chłodnie i sztywnieć poczyna.

Biednej Kasprowej z radości, że mąż powrócił, że córka ojca odnalazła i poznała — serce pękło.

Po tylu latach — powrócił przecie, powrócił!

Hej — powrócił...

Jasień.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Nowa Zelandja I.

Na południe od stałego lądu Australji znajdują się dwie wielkie wyspy, które przed ich odkryciem były wyłącznie zaludnione przez szczep maoryjski, dotąd jeszcze dość licznie reprezentowany przez pewną część dzisiejszych ich mieszkańców.

Z powodu bardzo niejasnych dziejów tego kraju, w którym nie było żadnego pisma, niepodobna ze ścisłą pewnością oznaczyć pochodzenia Maoryanów. Według ich podań nie byli oni pierwotnymi krajowcami, ale wypędzeni ze swej ojczyzny wskutek ciągłych wojen, po długiej żegludze morskiej, przybyli w te strony, gdzie nie zastali żadnego mieszkańca. Zdaje się, że przybyli z wysp Sandwickich.

Pierwszy Europejczyk, który uwiadomił świat cywilizowany o istnieniu tych wysp, nazywał się Abel Tasman, Holandczyk. On im też nadał nazwę, jaką po dziś dzień noszą.

W roku 1769 przybył tam z rozkazu rządu angielskiego kapitan Kook. Widok okrętu kapitana przejął zdziwieniem krajowców; sądzili oni, że to ogromny ptak z rozpostartemi skrzydłami, a małe jego łodzie mieli za młode ptaki bez skrzydeł, które spuszczano na morze. Gdy potem jednak spostrzegli, jak z tego okrętu wychodzili jacyś ludzie biali, zdziwieni i przerażeni wołali: „To dom bogów!" Przerażenie ustąpiło wkrótce miejsca spokojnej rozwadze; przypatrując się przybyszom, a widząc, że oprócz barwy nie różnią się w niczem od innych śmiertelników, uważali ich za zwykych najeźdźców, godzących na ich życie i mienie. Ośmielili się przeto i niebawem poczęli się im odgrażać i brać do broni dla odparcia ich napaści. Ale gdy jeden z majtków strzelił do nich z palnej broni, której jeszcze nie znali i zabił najdzielniejszego ich przewódcę, zdjęci strachem pouciekali do lasów. Myśleli, że huk strzału był grzmotem, a chociaż pragnęli pomścić się śmierci swego wodza, mówili, że nie mogą walczyć przeciw bóstwu, które ich grzmotem i błyskawicą zabija.

Nowa Zelandja — to istna Szwajcarja, ale w większych rozmiarach. Przedstawmy sobie rozległy łańcuch gór, który się ciągnie wzdłuż wysp i poniekąd stanowi jego podstawę, a łącząc się z innem pasem gór mniejszych, dzieli kraj na olbrzymie, przepaściste parowy, urocze doliny i bogate obszary urodzajnej ziemi. Z wielkich wyżyn spadają liczne rzeki, które się nieraz zmieniają w gwałtowne potoki. Góry te toczą się nieznacznie przez lekkie wzgórza, stopniowo się wznoszące jedne po drugich, to znowu pną się nagle jak niebotyczne piramidy i olbrzymy skał aż do wysokości, która się równa najwyższym szczytom gór w Europie. U dołu pokryte są gęstemi lasami, w miarę jak się wznoszą, zdobią je lżejsze krzewy albo paproć, a u wierzchołków już ledwo spostrzec można jaką trawkę.



Gejsery i tarasy w Nowej Zelandji.

Cudowna przyroda, nieoszpecona ręką człowieka, zachwycała w zupełności przybyszów. Dziś i tam się zmieniło. Ręka Europejczyków spoczęła na wszystkiem, wiele rzeczy ulepszyła, ale wyspom odebrała charakter dziewiczości. Dziś są tam już wspaniałe budowle, olbrzymie mosty, jak most nad wąwozem Manawatu, i t. p.

Osobliwością Nowej Zelandji jest grupa jezior, składająca się z trzech większych a kilkunastu mniejszych, które się odznaczają rzadkiemi zjawiskami wulkanicznej przyrody. Na wielkiej bowiem przestrzeni około tych jezior znajdują się bagna, napełnione błotem wrzącem. Ale co jeszcze bardziej zaciekawia widza i sprowadza podróżnych w te strony, są to źródła gorącej wody, zwane gejserami, które w pewnych czasach nieustannie wirują i wyrzucają w górę obfite strugi pary wodnej. (Zobacz nasz obrazek).

Gdy przyjdziemy nad taki gejser, kiedy on jest w spokoju, to zobaczymy jakby lejek, napełniony wodą do połowy. Nagle woda zaczyna się gotować i pomnażać. Gdy poziom wody dosięgnie już do brzegu zbiornika, a niekiedy wcześniej, daje się słyszeć ło-

skot podziemny, podczas którego ziemia się wstrząsa, woda wre coraz silniej, piana okrywa jej powierzchnię i niebawem dobywają się z niej z wielkim szumem silne prądy waru, parujące w powietrzu.

Prócz tych gejzerów odznaczają się te okolice jeszcze inną osobliwością. Są tu pewne tarasy, zazwyczaj dość regularnie piętrzące się jedne nad drugiemi, a utworzone przez krzemień, osadzający się jednostajnie wskutek wody gorącej, która w pewnych czasach spływa z wierzchołka góry. Mniejsze tarasy mają na swych szczytach zbiorniki wody gorącej i tworzą pyszne wanny marmurowe. Woda w nich jest złotawa z odcieniem koloru granatowego.

Na naszym obrazku oprócz gejserów widzimy także owe krzemienne tarasy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

JULJAN BACZYŃSKI.

Złoty trzewiczek.

Powieść z XII wieku.

CZĘŚĆ TRZECIA.

21. Hoża dziewczyna.

W pełnym poranku pełnej wiosny obchodził Drążek z łukiem na ramieniu częstokół zwierzyńca. Obok niego postępowała Zofka. Zwierzęta, znając swego dozorcę, przesuwały się w pobliżu, wcale nie uciekając, ptactwo różnorakie głośno radowało się w gęstwinach, ponad wszystkie górowały słowiki, wyśpiewując na przemiany, kukułki, ścigając się, wołały coraz głośniej. Zofka, zbierając zioła, zatrzymywała się co chwilę i rachowała kukanie.

— Zofka, a ileż ci tam narachowała, kiedyż ten Kordas twój będzie, co? — spytał Drążek.

Dziewczyna rozśmiała się i zanuciła:

Za siedem zim obiecała,
Siedem razy zakukała;
Oj zakuka jeszcze nieraz,
On o innej myśli teraz!
Oj!

— Co... ciebie by nie wziął, takiej dziewki?! Pieczarzynie mówiłaś?

— Po co? Jeśli ma być, to czarów nie potrzeba, i tak będzie mój, obaczycie!

— Tfy, nie o czarach rzekę, tylko baba ma łeb do swatów, no juźci!

Dochodzili do Wisły. Spienione z wiosennych roztopów jej fale trącały o brzegi i z szumem odbijały się od nich. W obie strony w dal czerniały po wierzchu wody jakieś ciemne punkty. Stary Sylwer łuk odłożył, usiadł blisko brzegu, spojrzał po Wiśle daleko ku Tyńcowi, potem obrócił się ku córce, zajętej ziołami.

— Zofka, żebyś ty była w królewskim ogrodzie, jakie ci tam zioła rosną, pewnie nigdzie nie ma takich, o!

Zofka wyprostowała się i stanęła.

— No tatulu, jakież to?

— Widziałem ci tam rozmaryn modro kwitnący i kozłek aż na trzy łokcie wysoki, a cieciórkę, co miała ziarno białe, kieby groch!

— Ej, to tam jakieś nie nasze! — rzekła, postąpiła kilka kroków i poczęła nucić:

U nas dla każdej dziewczyny
Biało kwitną rozmaryny,
Tamtych nam tu nie potrzeba.
Są nad wodą oczka z nieba,
Złote wrotycze, kaczeńce,
Biało różowe biedrzeńce,
Bratki, jaskry i stokrocie,
I kwiecia różnego krocie.
Oj!

Sylwer patrzył z zachwytem na jedynaczkę, a ona pełna swobody, kołysząc się i pochylając, nuciła dalej:

Cudne róże i lelije,
Wonne w lasach konwalije,
I dzwoneczki nie dzwoniące,
Powoje różno kwitnące,
A przy drogach, kieby panny,
Chylą się żółte dziewanny
I wyższe od nich bylice,
Te przepaski na dziewice...
Oj!

Wyrwała z korzeniami wysoką bylicę, przepasała się nią i za ten pas założyła pęk ziół i kwiatów.

— Przewiązałaś się bylicą, jak na kupałę!

— Ach, nie ma już kupały! — zawołała z westchnieniem.

— O prawda, a ktoby was wstrzymał po gaju się ścigać, przez głownie chybać?

— Ej!

Stary przechylił się na bok i patrzył na wilgotne w trawie podłużne ślady, co szły od Wisły ku łanowi podleśnemu.

— Zofka, widzisz?

— A co?

— Cóż tędy lazło, wiesz?

— A cóżby, jeno węgorze!

— A to ci smoki ostronose, nie siedzą w wodzie, tylko na pański młody groch na brzuchach sobie jadą het, tam daleko...

— E, co im tam żałujecie! Piaskiem by im zaraz te drogi popsuł, żeby nie wróciły, ale na co?

— Przecie nie teraz, bo już są w wodzie, jeno do księżyca, jak wyjdą!

— Tatulu, to niezła ryba?

— Juźci to ryba królewska, nie ladajaka, bez ości, tłusta i smakowita, z morza do nas idzie...

Nagle wśród szumu fal Wiślanych od strony Tyńca dał się słyszeć łoskot jakiś. I zaraz z poza wikliny ukazała się mała tratwa, płynąca zwolna i obijająca się koło brzegu, jakby na środek wysunąć się nie zdołała.

Zofka stanęła, popatrzyła na wodę.

— Oj tatulu, jakiś czarny do nas płynie, patrzajcie! — zawołała. Drążek powstał, pochylił się. Tratwa przybiła już prawie pod same nogi, na niej uginał się dziwny człowiek w błyszczącym kołpaku, od którego odbijała twarz pokaleczona i krwią zalana. Pokrwawiony też był ciemny skórzany kubrak, obciśnięty pasem z miedzianych klamer, za którym tkwił nóż w rogowej pochwie, a pod nim krótki kord podróżny. Odpychając się wiosłem, chwiał się cały, ujrzawszy ludzi, stanął, na wiośle się oparł i oczy wytrzeszczył.

22. Krwawy człek.

— Hej dobrzy ludzie! — wrzasnął krwawy człek — a wiecie wy, co się stało?!

I gruchnął na tratwę, woda go oblała, o mało nie wpadł do Wisły.

— Knezik, wojak czy bies? — mruknął Drążek i ostro krzyknął:

— No cóż? A wy skąd, może na królewskiego zwierza, hej?

Człek podniósł się, stanął i zawołał:

— Ojcze i ty dziewko, jam brat wasz ze Śląska.

— Ze Śląska, czegóż tu chcesz?

— Ja... ja?... od Prusaków!

Przywiązał tratwę do krzaka łoziny i na brzegu się oparł.

— Ha, dobrzy ludzie, nic nie wiecie? — znów zapytał.

— A mówcież żywo!



— A wy skąd, może na królewskiego zwierza, hej?

— Wiecie wy ludzie, co król Bolko robi, jak on tych dalekich Prusaków nawraca, jak on nas tam na zgubę, na śmierć prowadzi?! — wołał groźnie krwawy człek.

Drążek się zerwał, oszczep wzniósł do góry.

— Człecze, nie pleć! — krzyknął — i cichaj! Jam królewski człek, na króla gadać, wara!

Ale i okrwawiony człek się szarpnął, kord do góry wzniósł; w powietrzu nim mignął.

— Królewski człek?! — zapytał głośnym śmiechem — że królewskich kotów pilnujesz, a jam ci nie królewski, com krew wśród Prusaków dla króla tam lał, co?!

I nastawał na Drążka, stalowym kordem błyskał i strasznie oczy wybałuszał.

— Cichaj, nie zaczynaj, widzisz Wisłę? — mruknął Drążek, ale już nie nastawał.

Okropnie pokrwawiona twarz i poszarpany kubrak człowieka wzbudzały litość w czułem sercu Zofki.

— Cóż wam się to takiego stało — spytała — mówcież, może odpoczniecie?

— Ginie lud w krwawych wojnach w ziemi Chełmińskiej, Pomorskiej, Pruskiej! Tam w ziemi Prusaków, wśród bagien i błót leśnych, zmarniało straszną śmiercią tyle naszego ludu, tam zginął nasz dobry, nasz święty kneź Henryk Sendomirski, króla brat, co w Jeruzalem o grób Chrystusa walczył, na co, po co te wojny, oj, oj?!

Zofka rozpłakała się po tych słowach, a Drążek się zafrasował.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Listopad.

(1830—1918).

Listopad, listopad! Ciśnie się w duszę melodją mgieł wokół rozsnutych, nad tem jesieni spustoszeniem zadumanych, sączy się w mózg twój monotonnym rytmem kropel zgniłego deszczu, co wydzwaniają światu jakąś nieuchronną przemianę, zagładę, starość pochyloną, — i jakieś dziwne, powolne w dół zstępowanie, — by inni — młodzi, świeży — miejsca szmat mieli dosyć obszerny... Wdziera się oknami i drzwiami, skarży się rozpaczą drzew, bezlitośnie z liści odartych, ich ramionami, czarnemi oczodołami ich ran i dziupli — niedawno dobrotliwie i miłościwie osłoniętych... Mówi do ciebie głosem potężnym: wyrazem zgaszonej i zniechęconej twarzy rozmokłej ziemi, ograbionej z urody kwiatów, zbóż, traw i drzew zieleni — ziemi — patrzącej w dal, mgieł kotarą osłoniętą.

Stamtąd nadejdzie śmierć blada, biała, jak widzenie rzeczy, strasznych w swym nieubłaganym spokoju, jak oglądanie twardej, obojętnej konieczności. To już nie smutek, to już nie rozpacz, granice ich już minione — to jakaś Potęga, niesamowicie biała, tajemnicza, z sfinksowym, przemądrym, ironicznym, choć miłościwym, nieubłaganym, kamiennie spokojnym uśmiechem w kątach wielkich, wiecznie, wiecznie zamyślonych oczu. Idzie powoli, cicho, jak sen, nie spieszy się, płaszcz jej się wlecze po siwych, fioletowych ugorach, po martwej lasów sosnowych zieleni, po gwiazdach bladych, na godzinę jeno z za niego głowy wychylających, po słońcu, co w dół za jego dotknięciem opada... Idzie i delikatnie palce swe na oczach Życia kładzie — i gasną one powoli, bez łzy, w granitowej powadze i ciszy... — Thanatos — śmierć wielka natury — a może i narodu całego?...

Listopad... listopad... — wieczny symbol przemiany i wiekuistego nawrotu śmierci i — życia!...

Ha, czy znacie wy jednak, czy znacie wy wiosnę w listopadzie? — nie anemiczną, kwiatowych gron kasztanów powtórnie zakwitłych, — nie tą — lękliwą, co z strachem i nieśmiałością się wokół rozgląda — czy jej nie zoczy o cerze matowej — ponury i twardy listopad — ale prawdziwą, bujną, krwią życia młodego nabrzmiałą, rwącą do słońca, wiosnę, co czystemi, a jędrnemi i mocarnemi dłoniami opłatek jego ku sobie nachyla, podnosi jego zdesperowaną głowę, zatrzymuje je na błękitnym obrusie i karmi się jego żarem, spożywa dłońmi pełnemi jego światło, a wśród tej boskiej biesiady hymn Życia śpiewa — ogromny hymn — potężną radosną pieśń, na której ton granit nawet górski świąteczną gałęzią zieleni czoło swe mai?!...

Znacież wy wiosnę ducha narodu, co kłam zadaje i protest w trybunale Boga samego zakłada przeciw listopadowi życia grabieży przez białą, straszną, bezmyślnie ogłupiałemi od knuta oczyma patrzącą, dziką potęgę północy?!

Sto lat bez kropli roku oto w klepsydrze czasu przeciekło, gdy przyszła do nas ta wiosna — w wielkim listopadzie r. 1830. Wstała, rozsiała po Polski ugorach czerwone maki proporców, rój ptaków białych śmiał się radośnie jej nadejściu, grzmotem armat, deszczem kul, płomykami siwemi, jak chabry, bagnetów zwiastowała swe panowanie... Obręczą, jak dzwono tęczy nadziei złączyła niebo i ziemię w żarnym uścisku, miłosnym i świętym... Zmarli przed

wiekami bohaterowie z grobów wstawali, zbroję na się kładli, szli w bój z żywymi — a żywi, zapatrzeni w ten cud, porwani jego majestatem i mocą, z szeroko otwartemi oczyma marli, konali radośnie, bo widzieli przed zgonem wielką, potężną: Wiosnę narodu. Znacież wy wiosnę sławnego, wielkiego listopada — z przed lat stu nieledwie — i znacież mowę tej wiosny — mowę ust bladych, radosnych, których słowa, jak taśma purpurowa śmierci i miłości?...

Znacież tę wtórą wiosnę, co po latach siłą wiecznego nawrotu przychodzi — odrodzona — mocniejsza i upojniejsza — niż przedtem?... Wiosnę, co z baśni wiekowej wykuwa fakt granitowy? — My dzieci tej Wiosny!....

I zatarga huragan jej narodzin barami spowszedniałej, zgarbionej duszy naszej — podrzutem prężnym dźwignie ramiona nasze i sięgną w modlitwie do słońca, — radosny młot trudu krwawego ich dłonie zacisną, — co kuć i rąbać będą wiecznemu pochodowi Życia na naszych odrodzonych ugorach ojczystych... Komunją zgody, miłości i dobrej — a twardej woli — usta się nasze posilą, pójdą miljony w martwym ordynku zadławić, zetrzeć z pól naszych groźny listopad — na szczyty wejdą — i twardą dłonią odbiją na wieki żarny — na wieki świetlany — kawał naszego Jutra — Słońca!...

Franciszek Surówka.



Niektóre ludzie narzekają, że la nich Poniezus nie stworzył ani grontu, ani chałupy, ani nic takiego, na cemby mogli swoją głowę posadzić. Zdaje im się, że przy stworzeniu świata musiał se o nich zapomnieć, bo jakby nie zapomniał, toby mu przecie nie było skodziło w każdy wsi jesce drugie tyle morgów stworzyć, co ich stworzył i wszyscy mieliby gruntu, ileby jem ino potrza było. I ci ludzie uważają siebie za najbidniejszych na świecie, cięgiem ino narzykają i powiadają, że jem nic inksego na świecie ucynić nie wypada, ino ślipia zamknąć i kopyta wyciąnąć.

Ale ono już całkiem jest nieprawda, żeby tacy narzykace byli najbidniejsi. W człowieku siedzi juz taka natura, że onby chciał tego, cego nima, a jest niekuntentny z tego, co ma. Jak na ten przykład ma chłop babę uściwą i robotną, to wam powiada, że wolałby mieć zamiast swojej baby za babę kumę, bo kuma przyścipniejsa i na gębie śwarniejsa.

A ten kum, co ma tę babę ładniejsą, to znowu jest niekuntentny i powiada, że cłek se ładności nie poi, ale robotność i gospodarność to gront. Ale tak jednemu, jak i drugiemu to naprawdę chyba ino to dopika, że oni mają ino po jednej babie, a nie po pięć tak, aby kużda była do cego insego. Tacy gmyraśnicy to chcieliby, żeby jedna baba była do roboty, druga do całowania, a dalse trzy jesce do cego inksego. Oj, ludzie, ludzie, jakby to już nawet z jedną babą mało było kłopotu!

A znowu inkse ludzie to znowu z cego inksego są niekuntentne. Kumornik narzyka i ino o tem myśli, że byłby scęśliwy, jakby Poniezus stworzył la niego choćby maleńką, ale rodzoną chałupinę, żeby nie musiał cudzych kątów wycierać. Ale jak się tej chałupy dochrapie, to powiada, że wtedy byłby całkiem scęśliwy, jakby miał choć tyla gruntu, co plebańskiej kucharki gęba. I znowu charuje i charuje, jaz się dorobi trochę drobnych i kupi se ştync dobrego grontu. Ale ino to ucyni, to to scęście, o którem tak gadał, zaraz ucieka od niego. Człowiek taki pada wtencas, że dopiro będzie scęśliwy, jak se zmajstruje jaką jałówkę, od którejby miał mliko i chlib z masłem. Ale jałówka to wielga rzec! Ani jej z rękawa nie wytrzęsie, ani jej pod płotem nie znajdzie, ale trzeba mieć dużo złociaków, żeby ją kupić i scęśliwości wiekuistej się docekać.

Niech zasie po najdłuższych męcarniach cłek taki dojdzie do tego honoru, coby miał swoją jałówkę, a przez nią to całe upragnione scęście, to ono mu migiem uciekmie, gdzie pieprz rośnie, i cłek taki powiada, co on wtedy będzie scęśliwy całkiem, jak będzie miał drugą jałówkę.

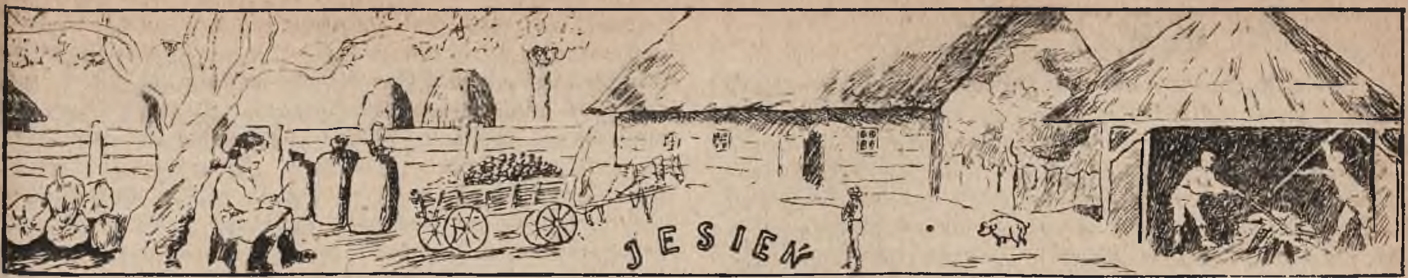
I znowu łapanie tego scęścia zacyna się nanowo, a im ono się blizsem zdaje, tem jest dalsiejse, bo jak chłop ma dwie jałówki, toby chciał mieć ştyry, a potem i kobyłę i grontu parę morgów i tak coraz więcej i więcej i nie wiadomo, na cemby się to skończyło.

Na tem ciągłem gonieniu za tem niby scęściem schodzą cłekowi miesiące i lata, aż przyndzie śmierć i powie: Chodź Kuba do podwójciego! I to właśnie jest jedna dobra rzec na świecie, bo kużdy cłek goniący za scęściem, jakby żył długo i miał choćby sto morgów ziemi i sto jałówek i inksych hunorów po usy, toby mu tego wszyćkiego za mało było, i możeby mu się zachciało wkońcu być organistą, abo może nawet siandarem. Bo zachłanność ludzka jest nienasycona.

Ale to nie ino u chłopa, bo w kużdem zawodzie jest tak samo. Weźmy na przykład takiego prefesura. Jak jest prefesurem, to chciałby być dyrektorem; jak go zrobią dyrektorem, to mu się zachciwa zostać inspektorem; jak zostanie inspektorem, to chciałby być kuratorem; a jak się wreszcie dochrapie kuratorstwa, to cięgiem myśli, zeby zostać ministrem; a jak wreście zostanie i ministrem, to już całkiem głupieje i sam nie wie, cego chcieć i latego tak źle jest w kraju.

I ono już jest tak wszędzie i we wszyćkich zawodach, że ludziom wszyćko mało i mało, ciengiem chcieliby więcej i więcej, a jak to więcej mają, toby chcieli jesce więce więcej i nigdy jem to, co mają, nie wystarca i latego jem źle na świecie. A tu temcasem cłek jest panem całego świata. Bo cyz to nie jego, to piekne słonecko, które mu codzień na niebie świci, cyz nie jego to niebo błękitne i to cyste powietrze, i te góry i lasy, na które sie bezustanku patrzyć może? Cyz nie jego te wody przecyste, w których swoje brudne gicale wykąpać se moze? Cyz to wszyćko nie jego? I jesce mu narzekać trzeba, tak, jakby miał dziesięć gęb i dziesięć brzuchów, które codzień musiałby napełniać? Ale cłekowi zawse mało i mało, a choćby mu Poniezus cały świat do pyska wepchał, to onby prosił: Panie Boże, jesce, jesce choć kawolątko...

Takie to są ludzie, tacy byli, i tacy będą na wieki wieków.



Poradnik gospodarczy.

Pielęgnowanie zwierząt w zimie.

W latach, w których brak paszy, lub pasza zimowa nieprawidłowo zwieziona została, wyczekuje rolnik z obawą nadejścia zimy.

Normalna zima zawsze jest korzystną dla zdrowia naszych zwierząt domowych. Jeżeli się zaczyna, tak, jak powinna, to powietrze jest zimne, suche, czyste, wzmacniające, bo obfite w kwasoród.

Proces gnicia rozwija się wolno albo też ustaje zupełnie. Jeżeli stajnie, obory i t. d. są odpowiednio urządzone i jeżeli pasza jest dobra, to istniejące już może choroby ustawają, stan zdrowia zwierząt staje się lepszy i użyteczność zwierząt się zwiększa. Są one uchronione od szkodliwych wpływów powietrza i zielonej jesiennej paszy.

Zwierzęta robocze mają po ciężkiej pracy jesiennej więcej wypoczynku w zimie. Choroby, przenośne materjami zakaźnemi (miazmami), zmniejszają się, tak samo jak i choroby rozszerzające się zapomocą materyj stałych. Choroby natomiast, pochodzące z złych składników krwi (choroby kachetyczne), rozwijają się dalej.

Specjalnych chorób zimowych, jakie odróżniamy od chorób wiosennych i jesiennych, niema właściwie, wszystkie bowiem choroby, jakie pojawiają się w zimie, mogą się też pojawić w każdej innej porze roku. Nadmienić jednak należy, że zimno niekorzystny ma wpływ na rany i wrzody i przyczynia się do pogorszenia chorób, polegających na złej mieszaninie krwi, np. blednicy, kaszlu, rozdęciu płuc, kruchości kości itp. Gwałtowne zaziębienia, jakim zwierzęta podlegają zimą, można nazwać właściwą chorobą zimową. Czasem zdarzają się też, wywołane śniegiem i lodem choroby nóg, jak parchy w pęcinach, guzy i t. p.

Nie należy dawać bydłu za wiele wywaru, bowiem od za wielkich dawek mąki ryżanej powstają parchy.

Źle zbudowane stajnie, obory i chlewy wywierają także szkodliwy wpływ na zdrowie bydła, mianowicie, jeżeli nie można go przewietrzać dostatecznie. Choroby nie są w takim razie wynikiem zimna, w prawidłowo bowiem zbudowanych stajniach i t. d. mogą być zwierzęta i w zimie zupełnie zdrowe.

Choroby z zaziębienia w zimie pochodzą głównie z tej przyczyny, że zwierzęta stoją w gorących i dusznych oborach i podczas silnego mrozu i śniegu na podwórze bywają wyprowadzane. Zdarza się to najczęściej u tych koni, których skóra, wrażliwa na czyszczenie, o wiele przystępniejsza jest wpływowi zimna. Najgorzej zaś, gdy stoją dłuższy czas w stajni i potem bez dery bywają zaprzęgane. Najgwałtowniejsze zaziębienia powstawają z tego, już w pół godziny po wyprowadzeniu konia ze stajni nastąpić może paraliż kości pacierzowej lub ochwat wietrzny. Że zaś konie są coraz droższe, przeto powinien każdy rolnik uważać na to, aby nie chorowały. Jedną z najniebezpieczniejszych chorób koni, powstających z zaziębienia, jest stranguzja.

Inne zwierzęta zaziębiają się także z powodu nieostrożnego wypuszczania z chlewów. Dla założenia owcom maciorom świeżej paszy wypędza je niejeden rolnik i w największe zimno z owczarni, zostawiając w niej tylko jagnięta. Z tego powodu wyziębia się mleko w wymionach i wełna, temperatura w owczarni spada i to wpływa bardzo niekorzystnie na zdrowie jagniąt.

Nadmienić jeszcze wypada, że szkodliwy wpływ zimna daje się najwięcej zwierzętom uczuć w nogach. dlatego trzeba je strzec przed śniegiem, lodem i wilgocią.

Maść ogrodnicza.

Przy uszkodzeniu (obdarciu) kory drzew, czy to przez zające, myszy, czy też z innych powodów, jeden z ogrodników rosyjskich rekomenduje maść składu następującego.

Wziąć żywicy świerkowej 400 gr. żółtego (niebielonego) wosku i roztopić to razem na słabym ogniu do stanu płynnego, mieszając. Gdy masa nieco ostygnie dolewa się do niej butelkę (pół litra) ogrzanego spirytusu, szybko mieszając całą mieszaninę. (Spirytus podegrzać — najlepiej w gorącej wodzie).

Przy użyciu takiej maści należy ją lekko podgrzewać. Smaruje się rany pędzlem z twardej szczeciny. Maść taka nie psuje się, nie dopuszcza wilgoci, zachowuje elastyczność i nie pęka.

Poradnik lekarski.

Gruźlica płucna, czyli suchoty. Suchoty powstają przez rozwijanie się prątków gruźliczych, które znajdują się w płucach. Gdyby choroba ta zależała wyłącznie od owych bakteryj, nie byłoby wogóle ludzi zdrowych. Na szczęście bakterje te rozwijają się tylko w organiźmie, już z innych przyczyn osłabionym, sił żywotnych pozbawionym. Przyczyny osłabienia tego mogą być odziedziczone, lub nabyte. Niehigjeniczne życie, nieodpowiednie odżywianie i leczenie: oto z nich najważniejsze.

Leczenie: Przebywanie w lasach szpilkowych, w izbie napełnionej zapachem przetopionego wosku, lub położonej w pobliżu stajni, gdyż to dodatnio wpływa... Bardzo pożyteczne jest huśtanie się na huśtawce, ponieważ rozwija i przewietrza płuca. Oczywiście dotyczy to osób skłonnych, a nie z chorobą już rozwiniętą. Osoby skłonne do chorób płucnych powinny żywić się głównie potrawami jarskiemi. Pożywienie nie powinno być zanadto obfite. Tak zwane kuracje tuczące okazały się szkodliwe. Należy jeść tylko tyle, ile apetyt wskazuje. Najzdrowsze potrawy kuchni jarskiej są te, które zawierają w sobie dużo soli wapiennych, te bowiem ułatwiają zabliźnienie ognisk zapalnych w płucach. Do tych potraw należą: bób, fasola, ryż, kasza owsiana, selery, szparagi, szpinak, kapusta głowiasta, rzodkiew, brukiew, kalarepa, marchew.

KRONIKA.

Niezgoda wśród włościan. Włościanie zamiast łączyć się w jeden obóz, aby wytworzyć tak w kraju, jak i w Sejmie siłę, która mogłaby stawić czoło wrogim dla chłopa stronnictwom, sami kłócą się między sobą i coraz bardziej rozbijają. Mamy świeżo dwa przykłady takiego rozbicia. Oto w ubiegłą niedzielę miał się odbyć w Poznaniu kongres „Piasta". Zjechało około 900 chłopa. Kongres zagaił p. Sobiech. Kiedy w przemówieniu wniósł okrzyk na cześć p. Witosa, na sali odezwały się okrzyki: „Precz z Witosem", a równocześnie na prezydjum posypały się cuchnące jaja, laski i kawałki krzeseł. Wkroczyła policja i uspokoiła wzburzenie, którego jednak ofiarą padł poseł Nosek, gdyż mu jakimś żrącym płynem oblano twarz, tak, że grozi mu utrata wzroku. A oto drugi wypadek: Od dłuższego czasu stronnictwa włościańskie: „Piast", „Wyzwolenie" i Stronnictwo chłopskie prowadziły rozmowy mające na celu zjednoczenie tych trzech stronnictw. Onegdaj miała się odbyć ponowna konferencja porozumiewawcza. Okazało się jednak, że prezes „Wyzwolenia", poseł Róg, nie chciał rozmawiać z posłem Witosem i usunął się od prowadzenia rozmów. Poseł Witos wobec tego wysłał na zebranie wiceprezesów stronnictwa, usuwając się od udziału w konferencji. Wskutek tych różnic, uzgodnienie poglądów nie nastąpiło, a konferencja porozumiewawcza nie została zakończona. I jakże tu mówić o zjednoczeniu włościan, kiedy przywódcy ich nie chcą nawet ze sobą rozmawiać.

Biskupstwo w Stanisławowie. Jak donoszą codzienne gazety lwowskie, w najbliższym czasie ma być utworzone nowe biskupstwo w Stanisławowie. Byłoby to wówczas piąte biskupstwo rzymsko-katolickie na terytorjum Małopolski. Dotychczas, jak wiadomo, są biskupstwa: w Krakowie, Tarnowie, Przemyślu i we Lwowie.

Klęska pożarów. W ubiegłym tygodniu o północy na folwarku Honiatycze wybuchł groźny pożar na posesji, należącej do rzymsko katolickiej kapituły lwowskiej, Budynki te były niedawno wystawione. Dzięki energicznej akcji ratunkowej spłonęły tylko dwie sterty słomy wartości 15.000 zł. Zbrodniczego podpalenia dokonali Ukraińcy, którzy oblali sterty naftą i jednocześnie przywiązali drutem do parkanu dwie o barwach narodowo-ukraińskich chorągiewki z napisem: „Na pohybel Lachom!" Energiczne śledztwo w toku. — Onegdaj odstawiono do więzienia we Lwowie dwóch uczniów gimnazjalnych Ukraińców, którzy podejrzani są o zbrodnię podpalenia folwarku oraz stogów siana we wsiach podlwowskich Grzędza i Dublany. — W majątku Belinie, własności Józefa Rajcherta, wynikł groźny pożar. Spaliły się cztery napełnione zbożem stodoły, wartości około 100.000 zł. Zachodzi podejrzenie o podpalenie przez tajemniczych osobników, najprawdopodobniej Ukraińców. We wsi Zborowej, pow. bracławskiego, skutkiem podpalenia powstał pożar w zabudowaniach trzech braci Abrahimowiczów. Straty wynoszą około 140.000 zł. Energiczne dochodzenia w toku.

Napad w lesie. Na drodze z Kamionki Strumiłowej do Radziechowa dwóch nieznanych osobników, owiniętych w chustki, napadło na przejeżdżających furą Schwarzwaldów. Napastnicy obrabowali podróżnych, poczem zbiegli do lasu.

Ucieczka głodomora. W Warszawie zdarzył się w ubiegłym tygodniu pocieszny wypadek. Oto pewien Łodzianin nazwiskiem Alfons Kriese kazał się zamknąć w opieczętowanej klatce szklanej, gdzie miał pozostać bez jedzenia tak długo, jak długo dotychczas nikt nie siedział. Najdłużej bez jedzenia potrafił dotąd wytrzymać pewien głodomór włoski, bo aż 44 dni, który jednak potem umarł. Pan Kriese postanowił go prześcignąć pod względem wytrzymałości. Siedział dzień, siedział drugi i bądź co bądz przesiedział aż dwa tygodnie. Ale po dwóch tygodniach nie mógł już wytrzymać dłużej. Kopnął więc w szklaną ścianę klatki butem i wydostał się na wolność. Zapytany przez policjanta, dlaczego to zrobił, odparł, że już dłużej nie mógł wytrzymać, gdyż czuł wewnątrz wielkie boleści. Odwieziono go do szpitala, gdzie okazało się, że jest chory na zapalenie ślepej kiszki.

Aby uściskać siostrę. W dzisiejszych czasach rzadko można spotkać rodzinę, w którejby rodzeństwo kochało się prawdziwie po bratersku. To też zadziwia nas pan Ignacy Nowicki z Kalisza, który w poszukiwaniu siostry udał się piesze aż do Bydgoszczy. W Poznaniu spotkał go maly wypadek, gdyż skaleczył się w palec u nogi. Z tego powodu musiał przerwać swą podróż, póki się palec nie wygoił. Po wyleczeniu palca udał się w dalszą drogę i dotarł do Bydgoszczy, gdzie z radością uściskał swą siostrę, poczem znów pieszo powrócił do Kalisza. Na opłacenie biletu kolejowego nie miał pieniędzy, a tęsknota za siostrą parła go do drogi, którą też odbył szczęśliwie. Mało teraz takich braci na świecie.

Strzelanina na weselu. W Rakowcu w powiecie podhajeckim odbywało się wesele. Pomiędzy podochoconymi parobczakami rozpoczęła się bójka i strzelanina, wskutek czego Franciszek Morawski z Bieniawy został raniony. Nie dość na tem. Gdy tamtędy przechodził starszy posterunkowy Sosnów, strzelili również dzielni mołojcy w jego stronę dwa razy. Strzały nie były jednak celne. Awanturniczych parobczaków aresztowano i osadzono w więzieniu, aby pomyśleli, że wesele nie jest na to, żeby się rozbijać, ale po to, żeby się zabawić statecznie i uczciwie.

Napad rabunkowy. W nocy z 16 na 17 b. m. o godz. 3 do prywatnego mieszkania naczelnika hurtowni tytoniowej w Mołodecznie Władysława Pawłowicza wtargnął niejaki Zygmunt Laskowski, mieszkaniec Głębokiego. Rozegrała się tu tragiczna scena, której szczegółów brak, a która jest przedmiotem dochodzenia władz bezpieczeństwa. Laskowski strzelił trzykrotnie do Pawłowicza, przyczem każdy strzał był trafny. Następnie Laskowski popełnił samobójstwo. Pawłowicza w stanie groźnym przewieziono do szpitala w Mołodecznie. W dochodzeniu wstępnem ustalono, że Laskowski usiłował zrabować kasę, a zatem był to napad rabunkowy. Dalsze dochodzenia w toku.

Ciekawe relacje przemytnika. Na odcinku granicznym Rudziszki patrol zatrzymał znanego przemytnika Wiśniewskiego przy przemycaniu przez granicę na Litwę przeszło 100 kg. cukru. Zatrzymany Wiśniewski zeznał, iż od dłuższego czasu uprawia ten proceder za zezwoleniem litewskiej straży granicznej, a nawet naczelnika powiatu olickiego, gdyż w ostatnich czasach coraz bardziej daje się odczuwać brak cukru na Litwie. Według zeznań Wiśniewskiego władze graniczne oraz policja Litewska tolerują przemytników, a nawet im do pomagają w przemycaniu towarów z Polski. Ot, tak to wychodzi Litwa na wojnie z Polską. Rząd litewski zamiast zrezygnować z dziecinnych uroszczeń do Wilna i zawrzeć umowę handlową z Polską, taką nieszlachetną drogą chce zaopatrzyć kraj w brakujące mu produkty.

Gimnazjalistka hersztem bandytów. Przez długi czas dokonywano w czeskiem mieście Ołomuńcu kradzieży i wielkich włamań. Policja śledziła włamywaczy

i aresztowała wkońcu szajkę z jej przewódcą St. Rojka na czele. Włamywaczy osadzono w więzieniu w Ołomuńcu i rozpoczęto śledztwo. Przed kilkoma dniami przyłapali strażnicy więzienia w Ołomuńcu tajne pismo, które gimnazjalistka Cecylja Barak wysłała do St. Rojki, jako swego kochanka. Pismo to, pokryte zagadkowemi literami, podobnemi do hieroglifów, oddano oddziałowi bezpieczeństwa w dyrekcji policji w Bernie. Po dłuższych badaniach zdołano znaleźć klucz do odczytania tajnego pisma i dowiedziano się z niego sensacyjnych szczegółów. Okazało się z niego, że prawdziwą przywódczynią szajki jest Cecylja Barak. Udzielała ona różnych rad zamkniętym w więzieniu włamywaczom. Radziła więc im, jak mają zeznawać, jak zjednywać sobie przekupstwami niektóre organa policji, jak udało się jej usunąć niektóre obciążające wszystkich przedmioty i dokumenty. Wyrażała następnie nadzieję, że na podstawie jej rad uda się włamywaczom opuścić więzienie. Oświadczyła następnie, że pojedzie na jakiś czas do Ameryki i tam przy pomocy nowej szajki zdobędzie tyle pieniędzy, że kupi sobie za nie piękny dom. Wkońcu wyraziła nadzieję, że pismo to nie dostanie się do rąk „świń“ z berneńskiej policji. Nadzieja zawiodła ją. Dzięki pismu policja dowiedziała się, kto jest przewódcą bandy, aresztowała Cecylję Barak w Przerowie i umieściła ją w więzieniu w Ołomuńcu. Trzech innych członków szajki z Konecnym na czele osadzono w więzieniu w Bernie. Dzięki tajnemu pismu Cecylji Barak policja zdobyła cenny materjał dowodowy, którego nie byłaby znalazła nigdy nawet przy najbardziej gorliwych poszukiwaniach.

Palacz - rekordzista. Wiedeńczyk, niejaki Józef Jahoda, obchodził niedawno 86-tą rocznicę urodzin, a zarazem 60-lecie palenia cygar. Ponieważ imć Jahoda jest bardzo skrupulatnym i ściśle przestrzegał dziennej normy wypalanych cygar, która wynosiła w ciągu 50 lat 15 sztuk dziennie, a od 1919 r. tylko 6 sztuk dziennie, przeto nie trudno było mu obliczyć, ile w ciągu 60 lat wypalił cygar. Okazało się, że w ciągu 60 lat wypalił 292.000 cygar, których łączna długość wyniosła 6.096 metrów. Statystyka ta nie podaje, ile też imć pan Jahoda puścił z dymem pieniędzy.

Zamknięta przed pokusami. W jednej z wiosek w Tyrolu, położonej w dolinie Izar, wykryto w mieszkaniu 56-letniej wdowy, właścicielki sporego gospodarstwa, niejakiej Anny Amort dwudziestoletnią jej córkę Jadwigę w stanie ostatecznego wyczerpania fizycznego. Jak się okazało, piękna Jadwisia powróciła przed czterema laty ze szkół do domu rodzinnego. Sama matka zdziwiła się jej pięknością, ale zarazem przestraszyła się, że piękne dziewczę będzie narażone na niezliczone pokusy z powodu swej piękności i że to może złamać jej życie. Głupia baba zamiast cieszyć się z urody swej jedynaczki, postanowiła uchronić ją w bestjalski sposób od możliwych pokus. W tym celu zamknęła nieszczęśliwe dziewczę do komórki i nie wypuszczała jej stamtąd przez cztery lata. Przez cały ten czas dziewczyna przebywała w więzieniu. W komórce za całe umeblowanie służyły mary z desek, na które rzucono nieco słomy. Izba ta nie była zupełnie opalana nawet w zimie. Gdy żandarmerja po wyłamaniu drzwi dostała się do owej komórki, oczom jej przedstawił się straszny widok. Na gołych prawie deskach okryta szmatami leżała wychudzona jak szkielet i zupełnie z sił opadła kobieta, pogrążona w najzupełniejszej apatji, graniczącej z obłędem. Wyrodną matkę osadzono w więzieniu, a nieszczęśliwą córkę przewieziono do szpitala, gdzie lekarze stwierdzili daleko posuniętą gruźlicę i kompletny rozstrój nerwowy.

Straszna zemsta. W czasie nabożeństwa w kościele parafjalnym w miejscowości Chiano we Włoszech dokonana została straszna zbrodnia. Oto pewien młody wieśniak przystąpił nagle do klęczącego miejscowego kupca, nazwiskiem Aversano i dobywszy nagle z pod surduta siekierę, odciął mu jednym ciosem głowę. Odcięta głowa ku przerażeniu zebranych wiernych potoczyła się aż pod główny ołtarz. Aresztowany morderca zeznał, że czynu swego dopuścił się z zemsty, gdyż Aversano uwiódł jego siostrę, a następnie ją porzucił.

Warjaci na swobodzie. Z zakładu dla obłąkanych w hiszpańskiem mieście Valladoli'd zbiegło 32 warjatów. Przez długi czas starania policji schwytania ich i odstawienia z powrotem do szpitala nie dawały żadnych rezultatów i tylko rozmaite niezwykłe przestępstwa i wykroczenia pozwalały przypuszczać, że są one czynami zbiegłych warjatów. Po pewnym czasie jeden z nich został schwytany w chwili, gdy usiłował usunąć szyny z plantu kolejowego, jako, jego zdaniem, zupełnie zbyteczne. Jedenastu z nich utworzyło bandę, która wtargnęła do pewnego zamku, steroryzowała właściciela i służbę i zabarykadowawszy się, broniła się przez dłuższy czas oblegającej ją policji. Trzech uciekinierów zostało zaangażowanych jakimś cudem przez przedsiębiorstwo, urządzające walki byków. Wzbudzili oni swą szaloną brawurą niesłychany entuzjazm wśród widzów. Wkońcu jednak zorjentowano się, że są to obłąkani i sprowadzono policję. Ale dopiero po uporczywej i niebezpiecznej walce udało się odprowadzić szalonych toreadorów z areny ich wspaniałych czynów do szpitala. Jednego z obłąkanych zdemaskowano i schwytano w chwili, gdy gdzieś na wsi, przybrany w szaty kapłańskie, przystępował do odprawiania mszy św.

Wyspa nagości. Na jednej z wysp Sekwany, 30 kilometrów od Paryża, będzie utworzona w przyszłym roku kolonja nagusów. Pomieści ona 10.000 ludzi, którym nie będzie wolno chodzić w ubraniach, ale tylko w spodeńkach kąpielowych. Pośrodku wyspy będzie zarezerwowany obszar kilkumorgowy, gdzie nawet spodenków nosić nie będzie wolno.

Straszny czyn bandyty. W malutkiej wiosce francuskiej Treguizzit rozegrał się onegdaj straszny dramat. W odosobnionym domku znaleziono chłopkę, wdowę Harnais, kobietę 67-letnią, leżącą w kołuży krwi bez życia, z twarzą napół przeciętą na wysokości nosa. Wezwana żandarmerja rozpoczęła poszukiwania i znalazła mordercę, 27-letniego bandytę, Grzegorza Cosquera, leżącego w stanie nietrzeźwym w łóżku swojej ofiary. Dramat miał przebieg następujący. Wdowa wróciła wieczorem z pola do swojej chałupy i zastała tam bandytę, który przeszukiwał jej mieszkanie. Bandyta chwycił na jej widok kosę i zadał jej potężny cios, przecinając jej twarz na pół, od ucha do ucha i zabijając ją na miejscu.

Tajemniczy morderca. W Düsseldorfie grasuje dalej tajemniczy morderca, którego policja pomimo nadzwyczajnych wysiłków nie może wykryć. W ubiegłym tygodniu popełnił on dziewiętnaste morderstwo, a na bieżący tydzień zapowiada listownie dwudzieste.

Sześcioro dzieci odrazu. Gazety angielskie piszą, że w Afryce południowej, która jest kolonją angielską, pewna młoda kobieta białej rasy powiła odrazu jednego po drugim sześciu synów, z których trzech zmarło po urodzeniu.

„Zbiorowe dzieci“. Jak wiadomo, rozpasanie w Rosji doszło w obecnych czasach do najdalszych granic. Nic też dziwnego, że rzadko która matka wie dokładnie, kto jest ojcem jej dziecka. Dlatego też po największej części po urodzeniu się dziecka matka podaje dwa lub więcej nazwisk ojców, a ponieważ i ci nie są pewni,

czy rzeczywiście któryś z nich nie jest ojcem, ojcowstwo takie przyjmują na siebie. Dziecko idzie do przytułku wychowawczego, a rodzice więcej nie troszczą się o nie.

Strach ma wielkie oczy. Podczas ostatnich wyborów miejskich w Anglji zwołała jedna z kandydatek partji pracy w Bradfordzie, niejaka pani Grundy, wiec wyborczyń dla przedstawienia im swego programu. W chwili jednak — jak opowiadają gazety londyńskie — gdy pani Grundy dosięgła najwyższego napięcia krasnomówczego, na sali wiecowej ukazała się myszka. Na ten straszny widok większość wyborczyń rzuciła się natychmiast z krzykiem do drzwi. Niektóre wszakże chciały być odważne i pozostały na swych miejscach, a mówczyni, pragnąc uspokoić zatrwożone, rzekła:

— Już sama od dłuższego czasu widzę tę mysz, a jednak nie krzyczę i nie uciekam!

Ale słowa te wywołały skutek wręcz przeciwny zamierzonemu, gdyż wyborczynie, które myszy jeszcze nie spostrzegły, usłyszawszy o obecności tego stworzenia w sali, powskakiwały na krzesła lub także ruszyły ku drzwiom. Powstała wskutek tego wrzawa, że nic nie pomogły wezwania kilku wyborczyń, których mysz nie zdołała przestraszyć, a pani Grundy musiała zaniechać swej mowy programowej.

Rzeź chłopów. W odległości 23 kilometrów od granicy estońskiej na terytorjum sowieckiem, w powiecie gdowskim, doszło do krwawego starcia chłopów z komunistami. Strażujący na granicy komuniści zatrzymali gromadę chłopów, zdążających do miejscowości nadgranicznych po chleb i zboże. Wywiązała się walka. Ponieważ komunistów było niewielu, zażądali oni pomocy. Wkrótce na miejsce walki przybył oddział karny, który urządził rzeź chłopów, kładąc trupem przeszło 100 osób. Tak to bolszewicy postępują z biednymi chłopami.

Antysowieckie powstanie nad Wołgą. W gubernjach nadwołżańskich ukazały się przeciwsowieckie oddziały powstańców, dowodzone przez byłych uczestników przeciwsowieckiego korpusu „białego“ ruchu zbrojnego oraz przez b. komunistów, wykluczonych z partji komunistycznej za przynależność do opozycji prawicowej. Walka z powstańcami prowadzona jest przez oddziały GPU, na których czele stanął słynny czekista Jagoda.

Masowe egzekucje na Syberji. Jak wiadomo, wskutek złej gospodarki, w miastach rosyjskich coraz bardziej daje się odczuwać brak żywności. Aby zapobiedz rozruchom, bolszewicy radzą sobie w ten sposób, że wysyłają wojsko na wieś i zabierają chłopom zboże bezpłatnie. Oczywiście chłopi bronią swojego mienia, ponieważ jednak są słabsi, przeto nietylko muszą uledz przemocy, ale, co gorsza, sami dostają się do więzienia. Tam zaś nie bawią się z nimi. Bez sądu, bez przesłuchania skazują na śmierć i wyrok natychmiast wykonują. Gazety syberyjskie ogłaszają codziennie listy takich skazanych, a listy te zawierają po kilka i kilkanaście nazwisk. W ostatnim tygodniu w jednem tylko mieście na Syberji stracono 189 niewinnych osób. Tak się przedstawia raj bolszewicki i takby było u nas, gdyby komuniści przyszli do władzy.

Skok z 40 piętra. W jednym z najbardziej ożywionych punktów Nowego Jorku, na Broadwayu, wydarzył się onegdaj straszny i wstrząsający wypadek samobójstwa. Pewna panna, zajęta w pewnem biurze pośrednictwa jako sekretarka skoczyła w zamiarach samobójczych z 40 piętra budynku na ulicę, gdzie padła martwa z połamanemi członkami. Samobójstwo to wywołało w Nowym Jorku wielkie wrażenie.

Nieznany bóg. Wszędzie po świecie, gdzie tylko dociera cywilizacja, rozpowszechnione są gramofony, t. j. przyrządy, które wygrywają całe pieśni, tańce, grane przez muzykę lub powtarzają wiernie śpiew ludzkim głosem. W każdem większem mieście pełno jest w mieszkaniach a także w restauracjach takich gramofonów.



Wynalazek ten wszakże nie dotarł do Afryki. Arabowie nie słyszeli nigdy spokojnie stojącej maszynki, z której tuby, przy obracaniu się obok umieszczonej płyty, wychodziłby śpiew człowieka. Raz Anglicy, podróżujący po Arabji, wzięli z sobą w góry gramofon, nakręcili i postawili wśród skał. Jeden z Arabów, towarzyszących im, aż ukląkł ze zdumienia i trwogi, słysząc ludzki głos w aparacie. Myślał, że to jest jakiś nieznany bóg, który w ten sposób się objawia!

Podróż poślubna w łodzi podwodnej. Podróż poślubna w łodzi podwodnej po dnie morskiem ma, rzecz naturalna, wiele swoistego czaru i oryginalności. Na podróż taką mogą sobie jednak pozwolić tylko bardzo bogaci ludzie, których stać na zakupno łodzi podwodnej. Otóż na podróż taką pozwoliło sobie młode małżeństwo amerykańskie, którego teść ze strony pana młodego podarował dzieciom łódź podwodną. W stalowe ściany łodzi wprawiono olbrzymie soczewki szklane o znacznej grubości, tak, że można było przez nie obserwować dno morskie i życie panujące w głębiach oceanu. Łódź opuściła się w głębiny morza Karaibskiego i spędziła w nich około 7 dni, w czasie których młoda para podziwiała cuda podwodne. W oślepiających smugach reflektorów widać było różne potwory morskie, ryby kuliste, które tłukły się o szkła soczewki, polipy ośmiornice i tysiące innych stworzeń. Czem głębiej opuszczała się łódź, ten scenarjusz był bardziej interesujący, ale i wywoływał uczucie lęku. Smutny był widok zatopionego okrętu, na którym można było zobaczyć szkielety ludzi, którzy ongiś płynęli na nim. Łódź wydostała się na powierzchnię wody i spuszczono natychmiast nurka, któremu udało się wydobyć na powierzchnię szkatułkę z drzewa dębowego okutego miedzianemi obręczami. W szkatułce znaleziono cały majątek, składający się ze starych dublonów hiszpańskich w złocie. Był to jakoby podarunek ślubny Neptuna dla młodej pary. Nurek w nagrodę otrzymał czek na grubszą kwotę pieniężną.

Miasto splondrowane przez bandytów. Pisma londyńskie donoszą z Szanghaju, że oddział, liczący 6.000 bandytów, napadł na miasto Hwang Szih Kang, oddalone tylko o 80 klm od Szanghaju, i po rozbrojeniu miejscowego garnizonu wojskowego oraz oddziałów policyjnych zrabował doszczętnie mienie mieszkańców. Po splondrowaniu domów bandyci puścili miasto z dymem. Pożar przybrał tak olbrzymie rozmiary, że w całem mieście nie pozostał ani jeden dom cały. Opuszczając zgliszcza, bandyci uprowadzili wielu bogatych kupców.

RZECZY CIEKAWE.

Zwyczaje weselne Chorwatów

Bardzo ciekawe są zwyczaje weselne ludu chorwackiego. Pierwsze posunięcia „starającego się“ młodzieńca czynione są przez jego matkę, która udaje się na wywiady do dziewczyny, niosąc ze sobą podarki. Przyjęcie podarków przez pannę oznacza przychylne i pomyślne dla kawalera przyjęcie. Następne kroki przedsiębierze ojciec kawalera. W towarzystwie swata zjawia się w domu panny z nieodłączną flaszką wina i zaczyna wstępne umowy. Na odchodnem goście otrzymują od panny w podarunku ładnie wyhaftowane chustki i odtąd już dziewczyna uważana jest za narzeczoną, nie wychodzi już na roboty w pole, lecz w domu przygotowuje się do wesela. Obowiązkiem narzeczonego w tym czasie jest codzienne odwiedzanie wybranej. Wymiana pierścionków odbywa się dopiero na tydzień przed ślubem i połączona jest z wzajemnem składaniem sobie podarków przez rodziców narzeczonych.

W dzień wesela, panna młoda wraz z drużkami plecie przy wtórze pieśni wianki, a w domu pana młodego gromadzą się tymczasem goście, między którymi uwija się zazwyczaj w dziwacznem przebraniu błazen — „czausz“. O wyznaczonej godzinie goście jadą wozami do panny młodej. Przed domem zaczynają im czynić przeróżne przeszkody: zamykają wrota, w drzwiach ustawiają balję z wodą, mającą oznaczać morze, poprzez które ma się przedostać do swej wybranki pan młody, wreszcie ukrywają narzeczoną, podstawiając zamiast niej inną dziewczynę w zasłonie — a wszystko musi pan młody przezwyciężać, nie szczędząc wykupu.

Gdy wreszcie opór otoczenia panny młodej zostaje przełamany, następuje składanie darów i odjazd do kościoła na „wienczajne“. Z kościoła po ślubie goście weselni udają się do domu pana młodego; — przed domem matka młodego kropi święconą wodą, a młodej składają jako dar kądziel i pogrzebacz — znak władzy nad domowem ogniskiem, potem zaś kładą jej na kolanach małe dziecko oraz chleb i sól, jako wróżbę przyszłej obfitości w gospodarstwie.

Uczta weselna trwa do północy, kiedy następuje odprowadzenie młodej pary do łożnicy po złożeniu gościom okupu.

Ludzie, którzy zaśmiali się na śmierć.

Śmiech nie szkodzi zdrowiu, sprzyja obiegowi krwi i trawieniu, ale niekiedy zabija. Jeden 15-letni chłopiec wychodząc z kinematografu w Bath, gdzie uśmiał się do łez podczas wyświetlanej tam komedji, padł trupem, rażony apopleksją. W związku z tem oświadczył lekarz, że w ostatnich latach w Anglji umarło kilka osób ze zbytniego śmiechu. Niedawno w pociągu na stacji Nottingham umarła pewna dziewczyna, której w konwulsji śmiechu pękła krtań — i wskutek tego udusiła nieszczęśliwą. W roku 1923 w Londynie zmarł śmiejąc się podczas filmu z Chaplinem 79-letni starzec, a ubiegłego roku 62-letni obywatel w Manchester zaśmiał się na śmierć w jednym z kinematografów.

Złoto w wodach rzek europejskich.

Badania chemików już dość dawno wykryły, że woda morska zawiera w sobie pewien, nieznaczny zresztą odsetek złota. Ostatnio niemiecki uczony prof. Haber odkrył złoto również w wodach szeregu rzek europejskich. Przeprowadzone przezeń badania zawartości wody Renu wykazały obecność złota w ilości 3 tysięcznych miligrama w każdym 1000 litrów wody. Trzy miljonowe części miligrama złota w litrze wody — to nieskończenie mało, ale z tych cząstek, przepływających w wodzie Renu tworzą się w ciągu roku wcale poważne ilości. Profesor Haber wyliczył, że przez Ren płynie w ciągu sekundy około 2 tysięcy metrów sześciennych wody, a więc w ciągu roku 63.72 miljonów metrów sześciennych, zawierających wcale pokaźną ilość, bo 200 kilogramów złota.

Macierzyńska miłość tygrysicy.

Pan Mathinson, słynny holenderski podróżnik, miał niedawno ciężkie przejście z tygrysem, z którego tylko z trudem udało mu się wyjść cało. Zdarzenie jest tak niezwykłe, że zapewne żaden inny myśliwy nie miał coś podobnego.

Przygoda zdarzyła się na wyspie Jawie, która pomimo bardzo gęstego zaludnienia słynie jako siedlisko licznych tygrysów, stale z pośród ludzi wybierających haracz. Lasy tamtejsze tworzą zbity gąszcz podzwrotnikowej puszczy, to też nawet w małym stosunkowo lesie dziki zwierz znajduje zaciszne legowisko. Wnętrza lasów nikt na przełaj nie przenika, należałoby w tym celu bowiem chyba rąbać ścieżkę toporem i staczać walki z licznemi wężami.

W pobliżu większej miejscowości letniskowej — w górach — zieleni się kilkuhektarowy jakby bukiet podzwrotnikowy drzew — ulubione miejsce wycieczek. Od gór pokrytych drzewami płynący wartki strumień przecina kępę drzew i dalej w słońcu już płynie wśród pól i ogrodów.

Pewnego dnia większe towarzystwo z miejscowości letniskowej, udało się na skraj lasku, by w miejscu, gdzie strumyk wypływa z gęstwiny drzew, zjeść podwieczorek. Wśród tego towarzystwa znalazł się również Mathinson, który zarzucił wędkę, by złowić w strumieniu parę rybek. Wśród ciszy, która zapanowała, nagle odezwało się z wnętrza lasu — jakby kwilenie dziecka.

Młoda panienka, dopiero niedawno na Jawę przybyła, usiłowała wtargnąć do środka lasku, nie bacząc na przeszkody i niebezpieczeństwo ze strony węży. Próżno Mathinson — który nieco dalej łowił ryby i kwilenia nie słyszał — odwodził ją od tego zamiaru twierdząc, że to jakiś ptak tak zakwilił lub jakieś pomniejsze zwierzę. Uparta panienka zrezygnowała dopiero, gdy Mathinson przyrzekł jej solennie samemu wedrzeć się w głąb kępy drzew.

Zbrojny jedynie kordelasem dla torowania sobie drogi i obrony przed wężami, słynny podróżnik począł brodzić łożyskiem potoku, jedyną, naturalną drogą, prowadzącą w głąb zbitej gęstwiny. Za nim podążał malajski służący. Tak uszli kilkadziesiąt kroków, gdy nagle na brzegu w trawie zobaczył wpatrzone w siebie dwie pary przerażonych oczu. Myśliwy zbliżył się nieco i pomimo mroku rozpoznał w trawie dwoje — tygrysiąt. Mathinson postanowił zabrać je ze sobą. — Pochwycił zatem jedno z kilkudniowych kociąt za kark, aby podać go słudze, gdy w tym momencie wyskoczyła z gąszczów tygrysica i rzuciła się ku śmiałkowi. Mathinson zasłonił się kociakiem, a matka w obawie, aby nie zgnieść dziecka, powstrzymała atak i stojąc tuż na brzegu, łapą starała się dosięgnąć wroga. Myśliwy jednak jak tarczą osłaniał się trzymanem kocięciem oraz nożem.

Wreszcie nerwy człowieka nie wytrzymały i Mathinson w najwyższem rozdrażnieniu cisnął tygry-

siątko daleko od siebie na środek strumienia Tygrysica zadała mu ostatni, pośpieszny cios łapą, tym razem już sięgając ramienia, na którem pazury wyryły krwawe bruzdy, poczem pośpiesznie skoczyła na ratunek tonącego dziecka. Mathinson zaś na oślep rzucił się do ucieczki.

Natychmiast zorganizowano obławę, ale tygrysicy nie upolowano, gdyż przeniosła się w inne strony.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp.: **Maryśka z Kamionki:** Za nadesłany utwór serdecznie dziękujemy. Co do dawniejszych czekają one w teczce wraz z innymi na swą kolej. Jeden z nich umieścimy po Nowym Roku z obrazkami. Utworów, przeznaczonych do druku, spoczywa w teczce redakcyjnej conajmniej ze sto, a „Rola" ani rusz nie chce się rozszerzyć, aby je gościnnie przyjąć na swe lamy. Powiadam nieraz p. Kowalczykowi; aby objętość „Roli" nieco powiększył, a on mi na to: „Panie Redaktorze, czy Pan z dęba spadł? Jeżeli powiększymy „Rolę", to i Pan będzie miał więcej pracy! „Nic to — mówię mu — do pracy jestem przyzwyczajony, więc podołam!" A on na to pokazuje mi płótno w kieszeni i twierdzi uparcie, że powiększenie „Roli" nie od niego zależy, ale od Czytelników. Gdy się ich liczba zwiększy, to i objętość „Roli" się zwiększy. Taka mnie złość wówczas na niego bierze i nic więcej mu nie życzę tylko, aby od Nowego Roku nic więcej nie robił, ale przez cały tydzień od świtu do nocy tylko „Rolę" ekspedjował. A możliwe to, gdy każdy z Czytelników zjedna po kilku nowych prenumeratorów. Gdyby każdy z tych, którzy tak chętnie „Rolę" czytają, sam dla siebie ją zaprenumerował, nie byłoby kłopotu z powiększeniem jej objętości. — **Franciszek Surówka** w K.: List Pański przeczytałem z prawdziwem wzruszeniem; świadczy on, że nasza praca nie idzie na marne, kiedy już w umysłach dziecięcych pozostawia niezatarte wspomnienia. Cieszy nas, że zyskujemy w Panu tak utalentowanego współpracownika. Nadesłane nam wiersze są mocne i pełne głębokich myśli, jedynie nieco za długie dla „Roli". Z powodu szczupłości miejsca tam mało możemy poświęcać go na poezje; mimo to będziemy się starali prace Pańskie umieścić jak najprędzej. Na przyszłość prosimy o więcej prozy. — **Walenty Pasierb** w Cz.: Pracę konkursową otrzymaliśmy. Łączymy pozdrowienia. — **Aleksander Kuśmiecki** w W.: Nadesłane wierszyki dobre, ze względu jednak na brak miejsca nie możemy oznaczyć, kiedy będą drukowane. Prosimy coś prozą. — **Józef Cyra** w P.: W nadesłanych wierszach brak rymu, a bez rymu wiersz nie jest wierszem. Wprawdzie białe wiersze nie posiadają rymu, ale musi w nich być rytm i polot, a na takie utwory mogą się porywać tylko talenty wybitne. Obrazek prozą jest miły, ale nie zawiera głębszej myśli. — **Józef Malczyk** w Z.: W nadesłanym wierszyku myśl piękna i styl piękny, ale nie wszystkie zwrotki się rymują, przeto traci on na wartości. — **„Be-ge"** w S.: Ogłoszenie takie kosztuje 1 zł. Numera za II kwartał b. r. można jeszcze wszystkie nabyć. Wierszyk „Na Roratki" zupełnie dobry. Nie na wszystkie listy odpowiadamy, więc też braku odpowiedzi nie można uważać, że jakiś utwór idzie do kosza. — **J. Maniewski** w D.: Nadesłane zagadki dobre, przeznaczamy je więc do druku. — **Franciszek Macioł** w S. B.: Dobre i pójdą. Kaśka język ostrzy na przyszły rok. — **Franciszek Charas** w K.: Niestety, honorarjum żadnego płacić nie możemy. — **Konstanty Szelest** w K.: Do końca roku brak tylko 2 zł. — **Maryla „Widz"** w O.: Adres podałem dobry, tylko Pani źle adresowała. Na odwrotnej stronie nalepiła Pani znaczek i wielkiemi literami swój adres zwrotny i wskutek tego list nie doszedł do Wierzbna, ale ze Lwowa już otrzymała go Pani z powrotem. Przylepiając znaczek nowy list został wysłany z niezmienionym adresem. — **Marja Lechita** w B.: Już myślałem, że Pani o „Roli" zapomniała. Za piękny wierszyk dziękujemy i prosimy o coś prozą. Łączymy piękne ukłony.

Zagadki do nagrody.

(Ułożył Adam Galer z K.).



W miejsce kwadracików wstawić litery. Rząd pierwszy poziomy i pierwszy pionowy czytany z góry na dół da nazwisko Polaka, sławnego z historji polskiej.

2. Szarady.

(Ułożył Jan Smaza z Z.).

I.

Druga z pierwszą jest to rzeka
Nie polska, lecz niedaleka,
Trzecie czwarte lubią dzieci,
Bo czas przy tem miło leci
Całość to instrument do muzyki znany,
Przeważnie w Rosji bywa używany.

II.

Bardzo chętnie drugiej trzeciej wszyscy [posłuchamy,
Pierwsza, to znowu przysłówek, często [używany.
Druga zaś na słońcu chętnie się wygrzewa.
Całość znajdziesz w „Roli", lecz jak się [nazywa?

3. Szarady literowe.

(Ułożył H. Biłka-Głębicki).

I

Tak pierwsze drugie się zdaje,
Że cała jest rzeczą wielką!
(Ożenił się Jaś z Anielką,
Ta dwa pierwsze szczęście daje).
Pierwsze drugie trzecie czwarte
Żenić się — tak Bzdura gaga —
Lecz mieć kudły ze łba zdarte,
Znów się żenić nie wypada!
Kiedy zaś całej brakuje,
To cztery pięć szósta wtedy!
(Więc się chrońcie od tej biedy),
Ona ciągle w gardle kłuje.

II.

Proszę cztery, pięć i pierwsze
Ukochani Czytelnicy!
Cały pisał cudne wiersze —
Niechaj go tu kto wyliczy!
Pierwsze dwa trzy cztery trzecie
Odgadniecie tylko jedno —
Widzi me trzy siedm trzecie,
W szarady trafie sedno.
Wszak sześć osiem Czytelnicy,
Którzy zgadną to zadanie,
Nie odejdą po próżnicy —
Nagroda im się dostanie!

4. Łamigłówki.

(Ułożył Alfons Czader z S. W.).

I.

Przez „ł" w morze się kieruje.
Przez „ż" na muchy poluje.

II.

Przez „k" służy na zatkanie,
Przez „w" to opakowanie.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 7 grudnia b. r.

Znaczenie zagadek z Nru 46 „Roli": 1. Logogryf: Kazimierz Pułaski. 2. Szarady: I. Wanilja. II. Kaszaloty. 3. Kwadrat magiczny: Drop-ropa-opar-park. 4. Łamigłówka: Rura-Sara-bura-mara. 5. Szarada literacka: Redaktor.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Alfons Czader z S. W., Józef Kopacz z S., Jan Gara z W., Józef Grad z W. B., Aleksander Krutikow z P., Piotr Leśniak z M., Edmund Markus z K., Józef Markus z K., H. B. Głębicki z S., Franciszek Macioł z S. B., Walenty Bal z S. B., Jan Dąbrowski z S., Marja Woźniakiewicz z G.

Nagrody wylosowali pp.: Piotr Leśniak z M. i Jan Dąbrowski z S.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Nie całkiem zadowolony.

Sędzia: Bartłomieju, za pobicie sąsiada skazany zostałeś na ośm dni kozy. Czy się kontentujesz tym wyrokiem?

Bartłomiej: Z wyroku proszę prześwietnego sądu, tom kuntent, jeno z kozy to przez urazy pana sędziego, to nie.

Na spacerze.

Handlarz (do oficera, od którego stare rzeczy kupuje): Dzień dobry, panie poruczniku!

Oficer: Osioł! jak możesz mi się tu publicznie kłaniać, co sobie ludzie o tem myśleć będą.

Handlarz: Niech się pan uspokoi, panie oficerze, oni pomyślą sobie, co ja jestem także porucznik w cywilu!



Troskliwy.

Gość w restauracji: Kelner! cóż to daliście mi taką kuropatwę, że musiałbym chyba psem być, żebym to mógł pogryźć. Daj no pan kawałek papieru, zaniosę ja mojemu Azorowi!

W domu: Patrz kochana żonusiu, jak ja zawsze myślę o tobie. Oto przyniosłem ci kuropatewkę z miasta, bo wiem, że bardzo lubisz.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy: w dniu 23 listopada b. r

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje .	od 1·10 do 1·70 zł.	Jałownik	od 1·05 do 1·68 zł.
Woły . .	od 1·25 do 1·70 zł.	Cielęta .	od 1·72 do 2·69 zł.
Krowy .	od 0·81 do 1·60 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	2·2[illegible] do 2·80 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 3·00 do 3.50

Giełda płodów rolniczych
z dnia 15 listopada b. r.

Pszenica .	40·50—41·00	Słoma długa	8·50—9·50
Żyto .	26·00—26·50	Ziemniaki stoł.	6·00—0·00
Owies . .	21·50—22·00	Koniczyna na-sienn. czer.	150·00—170·00
Jęczmień .	23·00—25·00		
Fasola biała	100·00—105·00	Mąka żytnia	43·00—44·00
Groch zwyk.	48·00—50·00	Mąka pszen.	75·00—76·00
Siano słodk.	11·00—12·00	Otręby pszen.	16·50—17·00
Łubin żóły	28·00—29·00	Otręby żytnie	16·00—00·00
Koniczpastew.	13·00—15·00	Mąka czerw.	20·00—21·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.